Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

W NUMERZE:

J. WILHELMI — Obrachunek z epoką imperializmu F. FENIKOWSKI — Stoczniowcy...
K. R. ZAWADZKI — W 11-tą rocznicę hitlerowskiej napaści na ZSRR
J. SERRAVEIRA — List z boliwijskiego piekła J. Z. JAKUBOWSKI — Adolf Dygasiński
N. GĄSIOROWSKA — Książka o życiu i działalności Prezydenta Bieruta
S. PIĘTAK — Dawne lata A. ROLLAND — Druga rezerwa...
J. STAWIŃSKI — Gdy prawda grozi zagładą J. K MACIEJEWSKI — Emil Reszka...
I. MATYSIAK — „Życie za dniówkę" J. SKALSKI — Trochę wrażeń z finału

Wieś
tygodnik społeczno-literacki

Rok IX — Warszawa, dn. 22 VI. 1952 r. — Nr 25 (359)

ZOFIA BARCHANOWSKA

»SAMI NIE WIECIE, CO POSIADACIE«

Henryk Trojanowski
sekretarz POP. PZPR.

„ROK 1951 w historii naszej spółdzielni produkcyjnej należy ocenić nie jako rok postępu, lecz wprost przeciwnie Ja, jako sekretarz podstawowej organizacji partyjnej, nie starałem się wniknąć w żywotne sprawy spółdzielni, jak to czyniłem w 1950 roku. Słusznie też tow. Guzanek na zebraniu wytknął mi, że oddział wojska bez swojego kaprala nie pokona wroga nawet słabszego. Ja przeszedłem do pracy w Gminnej Radzie Narodowej. W większości wypadków nie byliśmy my, partyjni, kierownikami spółdzielni i gromady. Kierownictwo naszych organizacji masowych, ZMP, Koła Gospodyń, LZS, TPPR objęli niewłaściwi ludzie, którzy nie kontrolowani doprowadzili te organizacje do rozkładu. A w 1950 roku odczuwało się pracę każdej organizacji, celem dla wszystkich było dobro spółdzielni. Rok 1951 przyniósł zanik czujności wobec wroga klasowego, który na każdym kroku dawał o sobie znać, próbując odciągnąć ludzi od pracy, strasząc członków spółdzielni nową wojną, powtarzając brednie nadawane z New Yorku, Londynu i Madrytu".

Z jakiej to spółdzielni pisze taki samokrytyczny list sekretarz organizacji partyjnej?

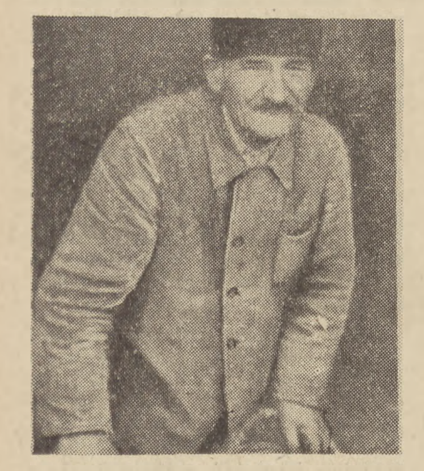

Foto J. K. Maciejewski

Aż się nie chce wierzyć — ze sławnego Boryszewa. Sławnego już w pierwszym roku zespołowej gospodarki, w roku 1950. Prasa i radio wymieniały wtedy Boryszewo jako jedną z najlepszych spółdzielni produkcyjnych w Polsce. Poświęcano mu reportaże, artykuły i audycje. Józef Morton opisywał w broszurze wrażenia chłopa, zachwyconego zimą 1951 r. sukcesami spółdzielni.

Sama pamiętam — kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Boryszewa późnym wieczorem w sierpniu 1950 r. — płonęły jeszcze dwa światła — reflektor nad pracującą młockarnią i lampa elektryczna nad kinem, w którym grano „Wesoły jarmark". I tam i tu byli spółdzielcy. Takim to życiem pulsowała spółdzielnia.

Cóż więc stało się w Boryszewie w 1951 roku, że sekretarz organizacji partyjnej, Henryk Trojanowski, ocenia go „nie jako rok postępu", nie jako krok naprzód, ale jako krok w tył? Czy ma rację w takiej ocenie i samokrytyce?

Gdyby stanowisko Trojanowskiego w całej rozciągłości odpowiadało prawdzie, oznaczałoby to, że poniesiona została klęska również, a może przede wszystkim w gospodarce spółdzielni.

List Trojanowskiego zawiera aluzje, wskazujące na te związki i konsekwencje. Ale jest ich niewiele, właściwie dwie.

— Opóźniono pielenie buraków (bo ludzie nie wyszli na czas do roboty), poniesiono przez to stratę około 5.000 złotych.

— Dniówka obrachunkowa spadła z 25 złotych (w r. 1950) na 16 złotych w r. 1951.

Otóż, czy sprawa buraków występuje po jakiejś dywersji politycznej, czy też po jakichś przegranych gospodarczo? Bo bardziej wyraźne rozprzężenie polityczne przypada na okres jesienny, właśnie wówczas, kiedy nawet na oko już orientowano się, że dniówka obrachunkowa będzie mniejsza.

Z gospodarką spółdzielni działo się zatem w roku 1951 coś specjalnego. Przechodziła jakieś wstrząsy. Chcę więc — jako inżynier - rolnik na materiale obszernego listu Trojanowskiego — przeanalizować ów rok od strony bazy rolniczo - gospodarczej, od strony rozwoju produkcji.

*

Dlatego wróćmy jeszcze na chwilę do roku 1950, który zadecydował o sławie Boryszewa. W grudniu 1949 roku 14 średniorolnych chłopów podpisało statut Rolniczego Zespołu Spółdzielczego. Wiosną wstąpiło nowych dziesięciu członków, w ciągu roku ośmiu, wiosną 1951 roku jeszcze 6-ciu.

Średniacy wnieśli piętnaście krów do zespołowej hodowli. Wybudowano nowoczesną oborę na 60 sztuk bydła, w ciągu roku dokupiono jeszcze 19 krów.

Z kredytów otrzymanych od państwa zakupiono żniwiarkę, kosiarkę, wozy i uprzęże dla koni, kopaczkę do ziemniaków i parnik.

Prace polowe wykonano w terminie, ludzie pracowali z zapałem. Żyta zebrano przeciętnie 32 kwintale z hektara. Dobre były plony buraków cukrowych — ponad 300 kwintali. Same warzywa przyniosły przeszło 15.000 złotych dochodu.

W rocznym obrachunku dniówka wyniosła 25 zł., a więc prawie dwa razy tyle, ile przeciętna wszystkich spółdzielni w kraju.

Ten pierwszy rok gospodarczego startu przenika wzmożone życie społeczne i kulturalne. Szkoła zostaje przekształcona z cztero- w 7-klasową. Powstaje przedszkole i ośrodek zdrowia. Powstaje Koło Gospodyń, aktywizuje się ZMP, „Podstawowa Organizacja Partyjna jest prawdziwym wówczas kierownikiem życia gospodarczego i kulturalno-organizacyjnego spółdzielni i całej gromady". Założone zostaje stałe kino i biblioteka. Książki i filmy cieszą się powodzeniem. Młodzież daje przedstawienia. Kilku spółdzielców wysłano na leczenie sanatoryjne. Jesienią z wycieczki na Ukrainę wraca przewodniczący spółdzielni.

Kończy się rok 1950. Jakże pogodnie i jakże zachęcająco na nowy rok. Dniówka — 25 zł., przewodniczący oglądał kołchozy na Ukrainie, wzbogaci spółdzielnię o radzieckie doświadczenia, o zapał radzieckich ludzi, wiosną znów przybędą nowi członkowie.

I kiedy jest tak pięknie i tak świetnie — Komitet Powiatowy zabiera syna przewodniczącego, naszego sekretarza koła partyjnego — do GRN-u oraz kilku najdzielniejszych chłopców do POM-u. Sławne Boryszewo może już pomóc okolicy...

*

Łatwo domyśleć się od czego zacznie analizę nowego roku inżynier - rolnik. Od planów. Tak właśnie zaczęłam i... zdrętwiałam. Powiat zabiera sekretarza, zabiera

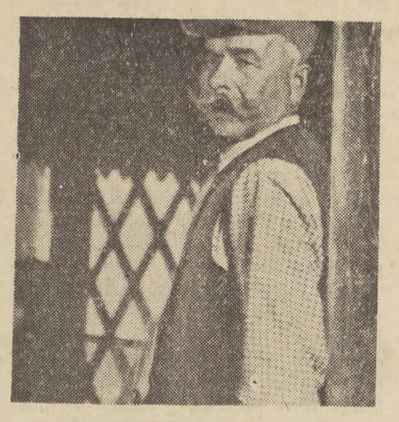

Foto J. K. Maciejewski

najdzielniejszych chłopców, osłabia (jak wynika z listu) opiekę nad zetempowcami, koncentruje uwagę na wielu nowych spółdzielniach gminy Niegłosy i powiatu płockiego — spokojny o dzielne i sławne Boryszewo...

A w Boryszewie plany na rok 1951 przewidywały:

1) komasację gruntów i wprowadzenie prawidłowego płodozmianu,

2) rozszerzenie bazy paszowej,

3) obok powiększenia hodowli krów założenie hodowli świń i budowę chlewni.

Plany zatem na rok 1951 zapowiadały nie *krok* naprzód, ale *skok* naprzód. Nowy rok miał być nie powtórzeniem produkcji z poprzedniego roku, ale istotnym przewrotem, budującym fundamenty gospodarki spółdzielczej jakościowo całkowicie nowej w organizacji i technice produkcji.

W tym stanie rzeczy czego zabrakło? Wydaje mi się na podstawie listu, że od góry do dołu, od powiatu do spółdzielców w planach nie doczytano do końca rozmiaru przemian i przełomu. A co za tym idzie, nie uświadamiano odpowiednio spółdzielców i nie mobilizowano jak należy do tak wielkich bitew, w jakie oni weszli. Spółdzielcom nie została ukazana w pełni ani wielkość zadań, ani związane z ich realizacją przejściowe trudności i straty. Nie dozbrojono ich na krytyczne momenty i pozorne klęski w należyty hart i odporność polityczną.

Armia spółdzielcza (bez kaprala) weszła w 1951 rok z rachubą na

Foto Grotowski

8000 dniówek, a wychodziła z niego po 12.000 dni walk.

Piękne plany okazały się więcej niż piękne — wielkie i przełomowe.

*

Bo co oznaczała komasacja gruntów? W 1950 roku spółdzielnia gospodarowała na 300 kawałkach ziemi. Od jesiennych siewów, na scalonych w jeden areał 325 ha, wprowadzono gospodarkę płodozmianową, pozwalającą rozplanować zmianowanie roślin z góry na cały szereg lat. Stworzono takie następstwo kultur po sobie, przy którym najbardziej są uwzględnione wymagania przyrodnicze roślin i warunki zewnętrzne: klimat, gleba i rzeźba terenu.

Komasacja gruntów stwarzała możliwości najlepszej organizacji pracy. Odpadała strata czasu na przechodzenie od działki do działki, łatwiejsza stawała się pielęgnacja, sprzęt, zwózka plonów, czy wywożenie obornika. Uprawianie w jednym polu tej samej rośliny pozwalało na powierzenie każdej brygadzie opieki nad jedną rośliną od siewów aż do sprzętu, na otwarcie pola dla współzawodnictwa pomiędzy brygadami.

Przejście do gospodarki wielkopolowej umożliwiało pełne zastosowanie maszyn do uprawy gleby, do pielęgnacji, nawożenia i sprzętu roślin. Mijał bezpowrotnie okres, kiedy traktor szedł na trzysta rozdrobnionych działek! Ile czasu i paliwa zużywały wówczas maszyny na dojazdy czy nawroty. W uprawie międzyrzędowej liczono przy rozdrobnionych działkach tylko na ludzkie ręce — teraz otworzyła się perspektywa poważnego ulżenia sobie w pracy przy pomocy wielorzędowych opełaczy, obsypników, bron ciągnikowych itd.

Doniosłość tego dzieła jest aż nadto wymowna. Boryszew wprowadzając wielopolową uprawę i prawidłowy płodozmian stawał dopiero teraz na fundamencie prawdziwie spółdzielczej gospodarki. Dopiero teraz otwierał na wszystkie przyszłe lata perspektywę rozszerzonej — socjalistycznej — reprodukcji.

Ale ten pierwszy rok wielopolowej gospodarki — po komasacji — zapowiadał przejściowe obniżenie plonów tam wszędzie, gdzie np pszenica następowała po pszenicy w jej dawnym szlaku, gdzie burak po buraku itd. Płodozmian regulowany w tym roku pełną swą wartość mógł okazać dopiero w następnym. To też z przejściowymi stratami należało oswoić spółdzielców, równoważąc je w świadomości zrozumieniem dla przyszłej stałej i niezachwianej już perspektywy urodzajów. A tego właśnie zabrakło.

*

Co oznaczało rozszerzenie bazy paszowej? Wprowadzono w Boryszewie system trawopolny Williamsa — owoc wycieczki na Ukrainę.

W porównaniu z rokiem 1950 podejmowano już nie krok, ale skok — naprzód — poprzez płodozmian zbożowy, pastewny czy okopowy, dochodząc do systemu polowo - łąkowego, opierającego się na prawidłowym zmianowaniu w dwu płodozmianach: polowym i pastewnym. Było to rewolucyjne przedsięwzięcie. Bowiem po pierwsze — przez wprowadzenie do uprawy wieloletnich mieszanek roślin motylkowych z trawami założono podstawy trwałej bazy paszowej dla rozwijającej się hodowli. W perspektywie zyskiwano setki kwintali dobrego, wysokobiałkowego siana i zielonek, nie tylko w jednym roku, ale w szeregu lat następnych.

Po drugie — płodozmian Williamsa różni się zasadniczo od kapitalistycznej uprawy, w której na pierwszym miejscu stawia się nie podniesienie urodzajności pól, ale doraźne zwiększenie dochodu z ziemi. System Williamsa ma na celu systematyczne podnoszenie żyzności roli i uzyskiwanie na tej kanwie stale zwiększających się plonów. Stanowi więc system planowej i najbardziej racjonalnej przemiany gleby dla zabezpieczenia stopniowego ale stałego wzrostu urodzajów. Uprawa roślin wieloletnich daje właśnie trwałą strukturę gleby i powiększa zapasy próchnicy.

Spółdzielcy nie uświadamiali sobie jednak, że podejmują dzieło zakrojone na szereg lat i, że w pierwszym roku nie odczują w pełni wspaniałych rezultatów swojej decyzji. Przy zwiększeniu ilości roślin pastewnych spółdzielnia wyprodukowała wprawdzie więcej paszy — ale przy wieloletnich motylkowych, jasne, że pełny plon mógł dać dopiero następny rok. Rozszerzając bazę paszową zmniejszono obszar pod kłosowymi i okopowymi, co znów musiało się odbić na zbiorach.

*

Co oznaczało rozszerzenie hodowli? Boryszewo poważnie zwiększyło ilość pogłowia bydła. W końcu 1951 roku było w oborze 40 krów i 23 jałówki. Ale jałówki i cielęta obciążały spółdzielnię swoim utrzymaniem, nie dając jeszcze realnego przychodu poza obornikiem. Dlatego też sprzedano tylko 70.000 l. mleka, a dużą część przeznaczono na karmienie cieląt.

W 1951 roku Boryszewo zaczyna rozwijać hodowlę świń. Jesienią było już 12 macior, 30 warchlaków i 25 bekonów. W ciągu roku sprzedano Państwowym Zakładom Mięsnym 27 sztuk o łącznej wadze 3.000 kg. i zabito na własne potrzeby pięć.

Ale hodowla macior i prosiąt obciążyła spółdzielnię kosztami utrzymania, gdy pełny z nich dochód osiągnie dopiero w bieżącym roku.

Rozwój hodowli trzody chlewnej wymagał zbudowania chlewni. I to dzieło zaplanowane zostało zrealizowane. „2 chlewnie — jedną na 20 sztuk macior, drugą na 90 sztuk bekonów zbudowano systemem radzieckim. Świnie mają osobne pomieszczenie do spania, osobne do karmienia. Są zawsze czyste, czyste są też naczynia i pokarm". Budowę przeprowadzono systemem gospodarczym, przez co jednak powiększyła się ilość dniówek obrachunkowych, obciążając bilans roczny.

*

Przez cały więc rok 1951 toczą się dwie akcje. Jedna, którą wieńczy nie krok nawet, a skok wprzód spółdzielni. Drugą wypełniają niespodzianki strat i ograniczonych zbiorów. Ta druga akcja nabrzmiewa niepokojem i rozczarowaniem. W niej to macza rękę wróg, strasząc członków spółdzielni nową wojną i podsycając zwątpienia aż do wrażenia klęski.

Pod koniec roku akcja ta osiąga punkt kulminacyjny.

„Na zebraniach omawiane są najczęściej sprawy błahe — pisze Trojanowski — omija się sprawy najistotniejsze. Zarząd Koła ZMP *interesuje się tylko pracami polowymi i oborą*, a zaniedbuje całkowicie pracę kulturalno - oświatową. Młodzieżą nie zajmuje się ani zarząd gminny, ani powiatowy ZMP. Nasza Podstawowa Organizacja Partyjna nie demaskuje i nie wskazuje wrogów i mącicieli, jak w 1950 roku, kiedy wskazywano ich na zebraniach, a często nawet w prasie. Świetlica u nas jest, lecz stoi prawie bezużytecznie, gdyż wszelkie zebrania i imprezy odbywają się w szkole".

Trojanowski tłumaczy tę akcję samym tylko osłabieniem czujności politycznej; członkowie tracą ochotę do rozwijania życia kulturalnego, część z nich ulega wrogowi klasowemu.

Zestawmy te obserwacje z sytuacją gospodarczą.

Otóż jesienią wiedziano już nie tylko o tym, że dniówka obrachunkowa będzie mniejsza, ale również dlaczego. Ta wiedza była wyraźnie jednostronna. I w tej jednostronności umacniał spółdzielnię wróg klasowy. Z drugiej [illegible] sukursu. Spółdzielcy plany zrealizowali a nie bardzo wiedzieli jakich są rozmiarów i jakiej doniosłości.

Wiedzieli natomiast, że wymłócono mniej zboża, że rozszerzono stanowiska paszowe, a korzyść okazała się niewielka, że cielęta i prosiaki nie dały jeszcze dochodu, a spółdzielnia ponosiła ciężar ich utrzymania, że budowa chlewów kosztowała w dniówkach i gotówce, że dniówek było o połowę więcej niż zaplanowano.

A przecież spółdzielnia wychodziła na 1952 rok z olbrzymim dorobkiem. Po pierwsze — po skomasowaniu ziemi z wyrównanym płodozmianem, co oznaczało możliwość staranniejszej obróbki, większej mechanizacji, lepszej organizacji pracy.

Po drugie — z rozszerzoną hodowlą krów — to znaczy, że obok 40 krów dojnych stanąć miało w 1952 roku do dojenia nowych 23.

Po trzecie, z założoną hodowlą trzody chlewnej, z kapitałem macior i prosiąt.

Po czwarte — z możliwościami dalszego rozwoju trzody chlewnej w oparciu o zbudowane chlewnie.

Po piąte, z rozszerzoną zwycięsko właśnie w 1951 roku (na tle pogorszonej sytuacji w kraju) bazą paszową i ugruntowaniem jej na szereg lat.

Po szóste — z wprowadzonym na stałe najbardziej racjonalnym systemem gospodarki polowej — płodozmianem Williamsa.

Czy nie są to sukcesy, nie jest to krok naprzód?

Foto J. K. Maciejewski

A weźmy ów rok od strony „klęski". 12.000 dniówek? Cóż one oznaczają? Pracowali ludzie? Pracowali o połowę więcej ponad zakreślony plan. I tą właśnie pracą osiągnęli nie proste tylko powtórzenie roku 1950, ale stworzyli trzy

Foto J. K. Maciejewski

nowe, na wyższy etap dźwigające spółdzielnię dzieła: 1) wielkopolowy płodozmian, 2) rozszerzenie bazy paszowej, 3) rozszerzenie bazy hodowlanej.

Owe 12.000 dniówek mówi o jednym z powodów osłabnięcia tętna ideologiczno - politycznego życia spółdzielni.

Jest to powód rzeczowy a nader wymowny. Spółdzielcy dodali połowę dniówek do zaplanowanej pracy. Oddali więc czas, jaki normalnie zostawał im po pracy. Tę sytuację wykorzystać probował wróg. Znajdował się wszak pod mniejszą kontrolą, przy osłabionej czujności, nie był wskazywany i demaskowany.

Foto J. K. Maciejewski

A jego przeciwnik — spółdzielcy — osłabł w organizacyjnej i kulturalnej działalności. Tak, to prawda. Ale przecież najzawziętszą walkę z wrogiem i z sobą stoczyli spółdzielcy na polu, w oborze i chlewie. A tu bili się niezmordowanie. Niedostatecznie objaśniani o wielkości i perspektywach planów, nie dostatecznie ostrzegani przed ich trudnościami, pozornymi i przejściowymi stratami, wreszcie zagubieni i gubiący się w rozmiarach prac — a jednak wytrwali do końca. Przekroczyli 8.000 dniówek, przekroczyli 10 tysięcy, przekroczyli 12 i... plany wykonali. Dokonali skoku, a mieli wrażenie klęski. Nie wymawiali pracy — 12.000 dniówek. Ale nie byli z nich dumni. Bo wróg mówił — mniejsza dniówka.

A co mówi rachunek? W roku 1950 — 25 zł., w 1951 — 16 zł. Ale jeśli o połowę więcej wypracowano dniówek, to znaczy, że na każdego przeciętnie wypadło o połowę więcej, tak, jakby brał nie 16 a 24 złote. Czyli, że zaniżenie poprzez dniówkę dochodu członków było praktycznie b. małe, a doliczyć trzeba perspektywy powstałe z komasacji, rozszerzenia bazy paszowej, wybudowania chlewni oraz umocnienia hodowli krów i *trzody* chlewnej.

Samokrytyka Trojanowskiego jest więc słuszna, ale źle postawiona.

Rok 1951 był rokiem postępu, krokiem naprzód w bazie, w wysiłku ludzi, w zbudowaniu podstaw wyższej wydajności pracy — ale — i tu dopiero miałby rację Trojanowski — był rokiem nieuświadomionego przełomu, rokiem nieuświadomionej wielkości dzieła. Taka dopiero samokrytyka jest słuszna: „sami nie wiecie, co posiadacie" — tego brakło spółdzielcom Boryszewa w 1951 r.

Zofia Barchanowska

KAZIMIERZ R. ZAWADZKI

W jedenastą rocznicę hitlerowskiej napaści na ZSRR

HISTORIA nie zna bardziej gigantycznych zmagań niż te, jakie w czasie Wielkiej Wojny Narodowej stanęły przed Związkiem Radzieckim. Olbrzymie terytoria, na których w czasie pokoju żyła i pracowała 88 milionowa ludność radziecka, dostały się pod okupację hitlerowskich najeźdźców. Straty wojenne, poniesione przez radziecką gospodarkę narodową, wyniosły około 679 mlrd. rbl. Żadne kapitalistyczne państwo nie przeżyłoby takiego ciosu i wstrząsu. Związek Radziecki jednak, wbrew oczekiwaniom i podstępnym knowaniom anglo - amerykańskich imperialistów, wyszedł z wojny zwycięski, jeszcze bardziej zjednoczony i silny.

II wojna światowa w odróżnieniu od I wojny, już od chwili napaści Japonii na Chiny i hitlerowskiej III Rzeszy na Czechosłowację, a następnie we wrześniu 1939 r. na Polskę, miała, jak to wykazał J. Stalin, wyzwoleńczy, antyfaszystowski charakter. Wystąpienie Związku Radzieckiego przeciwko państwom osi spotęgowało jeszcze bardziej antyfaszystowski charakter wojny. W rezultacie zaś przewidującej dalekowzrocznej stalinowskiej polityki reakcyjne rządy USA i W. Brytanii, wbrew swym planom, zostały zmuszone do prowadzenia wspólnie z ZSRR wojny przeciwko hitleryzmowi.

Związek Radziecki postawił sobie w antyfaszystowskiej wojnie następujące cele: zniszczenie faszyzmu, wyzwolenie narodów Europy z hitlerowskiej niewoli, umożliwienie im wprowadzenia demokratycznego, postępowego ustroju oraz wywalczenie długotrwałego sprawiedliwego pokoju. Reakcyjne koła monopolistyczne Wall Street i City natomiast nie chciały bynajmniej rozgromienia i zniszczenia faszyzmu. Dążyły jedynie do osłabienia niebezpiecznych niemieckich i japońskich konkurentów. Przede wszystkim jednak pragnęły klęski ZSRR.

Dlatego też nawet w czasie wojny amerykańsko - angielscy imperialiści montowali nadal antyradziecki blok, skupiając wszelkie międzynarodowe siły reakcji. Od jesieni 1941 roku oraz w latach 1942 — 1943 potajemnie, za plecami Związku Radzeickiego rządy tych państw spiskowały w poszukiwaniu kompromisu z przedstawicielami hitlerowskich Niemiec. (Np. w Lizbonie w 1941 roku wysoki oficer angielski Eitken — syn lorda Beaverbrook'a oraz w Szwajcarii w 1943 roku Allen Dulles — brat John Foster Dulles'a). Innym przykładem tych zdradzieckich knowań było, przedstawione w Waszyngtonie i Londynie w jesieni 1942 roku w okresie gigantycznych walk pod Stalingradem, memorandum Winstona Chirchilla. Churchill uzasadniał w nim konieczność natychmiastowego utworzenia Stanów Zjednoczonych Europy z udziałem... hitlerowskich Niemiec. Odraczanie otwarcia II frontu aż do chwili, kiedy w 1944 roku hitlerowska III Rzesza została już izolowana, kiedy trzon jej sił zbrojnych związany na radzieckim froncie niezdolny był do prowadzenia aktywnej obrony, do chwili kiedy stało się jasne, że Armia Czerwona własnymi siłami zdobędzie Berlin, zdoła okupować Niemcy i wyzwolić Francję nie było bynajmniej rzeczą przypadku. Drugi front nie był wymierzony przeciw Niemcom.

Wielka Wojna Narodowa jeszcze raz wykazała potęgę Związku Radzieckiego i niezwyciężalność Czerwonej Armii. Wojna ta udowodniła, że partia Lenina i Stalina, będąc kierowniczą siłą narodów radzieckich, stanowi jednocześnie przykład poświęcenia i heroizmu w walce o ojczyznę i pokój.

Historyczne zwycięstwo Czerwonej Armii nad hitlerowskimi Niemcami i ich satelitami nie zostało łatwo zdobyte. W przemówieniu 3 lipca 1941 roku, wskazując na niebezpieczeństwo zagrażające Socjalistycznej Ojczyźnie, Józef Stalin mówił o konieczności przestawienia całego życia na potrzeby frontu.

„Powinniśmy natychmiast przestawić całą naszą pracę na tory wojenne, podporządkowując wszystko sprawom frontu i zadaniom organizacji rozgromienia wroga".

Radziecka klasa robotnicza, radzieckie chłopstwo i pracująca inteligencja zrozumiały i zrealizowały słowa Nauczyciela i Wodza. W rezultacie w latach 1942 — 1945 przemysł radziecki produkował około 30.000 czołgów, samochodów pancernych, około 120.000 dział i 40.000 samolotów rocznie.

Wojna ZSRR przeciwko hitlerowskiej III Rzeszy i jej satelitom trwała prawie 4 lata. W miarę rozwoju działań wojennych zarówno strategiczna jak i operacyjna sytuacja na frontach oraz układ sił międzynarodowych zmieniał się stale na korzyść Związku Radzieckiego, Inicjatorem i twórcą tych zwycięstw był wielki strateg Generalissimus Józef Stalin.

Okres pierwszy wojny — aktywna strategiczna obrona — trwał od czerwca 1941 roku do jesieni 1942 roku. Główną zwycięską bitwą w operacjach rozegranych w tym okresie było rozgromienie faszystowskich najeźdźców pod Moskwą zimą 1941 roku.

Okres drugi (rok 1943) przyniósł Armii Radzieckiej przełomowe, rozstrzygające o wynikach wojny zwycięstwa pod Stalingradem i Kurskiem. Oceniając znaczenie klęsk zadanych hitlerowskim armiom Józef Stalin mówił wówczas:

„Jeśli bitwa pod Stalingradem oznaczała schyłek niemiecko-faszystowskiej armii, to bitwa pod Kurskiem postawiła ją w obliczu katastrofy".

Trzeci okres wojny (rok 1944) charakteryzują wielkie zwycięstwa nad wrogiem, odniesione w wyniku 10 druzgocących stalinowskich uderzeń. Terytoria radzieckie zostały całkowicie wyzwolone. Satelici hitlerowscy: Włochy, Finlandia, Rumunia i Bułgaria wypadły z wojny. III Rzesza znalazła się w strategiczno-politycznej izolacji.

Czwarty i ostatni okres Wielkiej Wojny Narodowej (od końca 1944 roku do rozgromienia hitlerowskich Niemiec 8 maja 1945 roku i militarystycznej Japonii 2 września 1945 roku) przyniósł wyzwolenie Polsce, Czechosłowacji i innym narodom Środkowo-Wschodniej Europy oraz stworzył warunki, które pozwoliły zrzucić jarzmo międzynarodowego kapitalizmu wielu narodom Azji, a przede wszystkim Wielkiemu Narodowi Chińskiemu. Dwa ośrodki światowego faszyzmu i agresji—III Rzesza i Japonia zostały rozbite.

✠

Jeszcze przed zakończeniem wojny Rząd Radziecki pod osobistym kierownictwem Józefa Stalina opracował konkretny program powojennego współżycia narodów Europy i Azji. Program ten, sformułowany przez Józefa Stalina w referacie wygłoszonym w listopadzie 1944 roku, znalazł w dużej mierze wyraz w postanowieniach układów, zawartych w Jałcie i Poczdamie. Postanowienia te podkreślały konieczność likwidacji wszelkich rasowych i narodowych przywilejów. Głosiły zrównanie w prawach i poszanowanie terytorialnej intergralności i suwerenności zarówno wielkich jak i małych narodów. Stwierdzały przywrócenie swobód demokratycznych oraz całkowitą niezależność narodów w urządzaniu własnego życia i wyborze państwowego systemu.

Program stalinowski jak i postanowienia układów w Jałcie i Poczdamie przewidywały poza tym konieczność surowych kar dla zbrodniarzy wojennych, stworzenie warunków międzynarodowych, uniemożliwiających odrodzenia faszyzmu oraz imperializmu niemieckiego i japońskiego.

Podkreślając znaczenie rozbrojenia Józef Stalin wskazywał na konieczność utworzenia specjalnej organizacji miłujących pokój narodów, celem obrony pokoju i zapewnienia międzynarodowego bezpieczeństwa. Wyjaśniając znaczenie ONZ w dziele obrony pokoju Józef Stalin zwracał uwagę, że jej działalność może być skuteczna tylko w tym wypadku, jeśli wielkie mocarstwa, które na własnych barkach dźwigały ciężar antyfaszystowskiej wojny, będą i w przyszłości działać w duchu porozumienia, zgody i jednomyślności.

Bieg wydarzeń po wojnie dowiódł, że imperialistyczne koła rządzące USA oraz ich satelitów nie chcą współpracy ze Związkiem Radzieckim. Wiemy jakie są tego przyczyny. Współpraca ze Związkiem Rad oznacza pokój, a imperializm dąży do wojny. „Imperializm — mówił Stalin jeszcze ćwierć wieku temu — nie może żyć bez gwałtów i grabieży, bez krwi i wystrzałów. Dlatego właśnie jest imperializmem". Ale jako zapora na drodze gwałtów i podbojów stoi Kraj Socjalizmu, stoją demokracje ludowe, wyzwolone już Chiny i coraz szybciej idące ku wyzwoleniu narody krajów zależnych i kolonialnych, staje coraz wyraźniej świadoma swych celów klasa robotnicza państw kapitalistycznych — potężniejący z każdym rokiem obóz pokoju. Imperializm usiłuje więc odgrodzić swe narody żelazną kurtyną od krajów socjalizmu, buduje bazy wojenne na całym świecie, stara się wzmocnić swoje zaplecze biorąc w niewolę własne społeczeństwa — przygotowuje wojnę, a w Korei już ją prowadzi. Niezdolny do zrozumienia procesów historycznych, usiłuje przerwać ich bieg salwami artylerii, wybuchami bomb bakteriologicznych.

„Tylko bowiem ludzie całkowicie zdziecinniali mogą mniemać, że prawa artylerii są silniejsze od praw historii, że można obrócić wstecz koło historii" — mówił Józef Stalin w cytowanym już przemówieniu. I-a wojna światowa prześpieszyła wybuch rewolucji, wyzwalając 170 milionów ludzi z wyzysku klasowego i tworząc wyłom w systemie światowego kapitalizmu, powołała do życia pierwszą Socjalistyczną Republikę. Przyszła interwencja i jej niesławna klęska. Po II-giej wojnie światowej wyzwoliły się dalsze setki milionów ludzi w Europie Środkowo-Wschodniej i Azji, przeobraziła zupełnie stosunek sił, ukazała olbrzymią wyższość ustroju socjalistycznego, który w wojnie tej był właściwym zwycięzcą.

Sytuacja dzisiejsza, to sytuacja, w której, jak pisze Mołotow, „imperialiści, rozpętując nową wojnę światową wywołają nieuchronnie tak powszechny odpór ze strony miłujących pokój narodów i całego obozu demokratycznego, że doprowadzi to do klęski nie tylko tych, czy innych państw agresorskich, jak było dotąd, ale do likwidacji całego ustroju światowego imperializmu".

Kazimierz R. Zawadzki

JANUSZ WILHELMI

OBRACHUNEK Z EPOKĄ IMPERIALIZMU

(Pięćdziesiąt lat twórczości Zofii Nałkowskiej (II*)

Powieść *Węże i róże* (1913) jest jednak dowodem, że postawa Nałkowskiej była — na dłuższą metę — nie do utrzymania. Etyczny protest, bez wyciągnięcia konkretnie politycznych wniosków, bez uświadomienia sobie klasowego sensu rewolucji — nie uodporniał pisarza całkowicie przed naciskiem burżuazyjnej ideologii. Wynikiem tego nacisku są *Węże i róże* (1913) — powieść, nawiązująca do wyjściowego punktu rozwoju Nałkowskiej, do *Lodowych pól*.

Z takim dorobkiem wkracza Nałkowska w lata wojny imperialistycznej 1914 — 1918.

Bezsens tej wojny, jej okropności i wywołane przez nią zniszczenia są dla pisarki wstrząsającym przeżyciem. Z tego wstrząsu wyrastają dwie jej wojenne książki: *Tajemnice krwi* (1917) i *Hrabia Emil* (1918). Obydwie są protestem przeciw wojnie.

Trzeba stwierdzić od razu, że polemika z wojną, prowadzona jest przez Nałkowską z pozycji integralnego pacyfizmu. Jest to polemika z *wszelką* wojną.

Czy stwierdzenie to rozstrzyga już o wartości obu tych pozycji? Nie. Zagadnienie pacyfizmu jest zagadnieniem tak złożonym, że wymaga zawsze konkretnej analizy historycznej. Pacyfizm może służyć różnym celom. Jego postępowość lub wsteczność będzie zależała od tego w czyjej obronie występuje i w co wierzy.

W wypadku Nałkowskiej, łatwo stwierdzić w czyim imieniu prowadzona jest kampania z wojną. Po pierwsze w imieniu zagrożonych przez zdziczenie imperialistycznej wojny wartości humanistycznych; wojna — według Nałkowskiej — rozpętuje w człowieku najniższe instynkty mordu i gwałtu. Jako uogólnienie jest to niewątpliwie fałszywe — wojna wyzwoleńcza może być dla człowieka szkołą bohaterstwa i poświęcenia. Ale jako stwierdzenia konkretnego faktu teza Nałkowskiej jest niewątpliwie słuszna: wojna impierialistyczna — a na niej opierała swe obserwacje Nałkowska — wyzwala rzeczywiście najniższe instynkty, które zostąpić mają brak wszelkich przyświecających jej idei.

Po drugie — jak świadczą *Tajemnice krwi* — kampanię przeciw wojnie prowadzi Nałkowska w imieniu tych, których dotyka ona najmocniej, w imieniu prostych, zwykłych ludzi.

Obie te przesłanki pozwalają nam już w jakiś sposób ocenić wagę antywojennego protestu Nałkowskiej. Wagę tego protestu dostrzeżemy jeszcze wyraźniej, kiedy sporzymy na okoliczności, w jakich pojawiają się wojenne książki Nałkowskiej.

Rok 1917 to data ukazania się *Tajemnic krwi*. I zarazem moment, w którym imperializm pruski wraz ze swą piłsudczykowską agenturą dokłada wszelkich starań, aby pozyskać polskie „mięso armatnie" dla swych agresywnych celów. Demobilizująca nastroje wojenne książka Nałkowskiej przeciwdziała w jakiejś mierze tym zamierzeniom. I to niezależnie od tego, czy swój atak na wojnę wspierała Nałkowska prawdziwymi czy fałszywymi teoretycznie argumentami.

Rok 1918 to data ukazania się *Hrabiego Emila*. I zarazem rok, w którym burżuazja polska prze coraz wyraźniej do interwencyjnej wojny ze Związkiem Radzieckim, rozdmuchuje psychozę wojenną i histerię nacjonalistyczną. I znów — niezależnie od swych teoretycznych błędów — *Hrabia Emil* rozładowując nastroje wojenne spełnił na pewno pozytywną rolę.

Lata 1918 — 1923 to okres szerokiego rozlania się fali rewolucyjnej po całej Europie. Rewolucja Październikowa pobudziła klasę robotniczą całego świata do szturmu na kapitalizm, do generalnej ofensywy przeciw ustrojowi krzywdy i wyzysku.

W Polsce lata te przynoszą niezwykłe natężenie walk rewolucyjnych, w których proletariat polski pod przewodnictwem Komunistycznej Partii Polski — powstałej z SDKPiL i PPS Lewicy — składa dowody swego hartu ideowego i pełnego oddania sprawie rewolucji proletariackiej. Nie trzeba chyba przypominać okoliczności tych bohaterskich zmagań.

Z drugiej strony lata 1918 — 1923 to okres, w którym burżuazja polska pokazała bez reszty swe reakcyjne, wrogie ludowi oblicze. Doszedłszy do posiadania własnego państwa klasowego użyła go jako narzędzia jeszcze silniejszego wyzysku mas robotniczych i chłopskich. Jednocześnie na ziemiach Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi do ucisku klasowego dołączył się ucisk narodowy. Uciemiężone narody — Ukraińcy i Białorusini — rozpoczynają coraz zaciętszą walkę o wyzwolenie narodowe, o zrzucenie jarzma polskiej burżuazji i obszarnictwa.

Okres ten — w którym konflikty społeczne i narodowe zarysowały się z taką jasnością — był dla literatury polskiej probierzem uczciwości i rzetelności pisarskiej W obliczu bohaterskiej walki klasy robotniczej w obliczu szalejącego ucisku burżuazyjnego — pisarz, który chciał zachować swą ideową samodzielność, który nie przeszedł całkowicie na służbę burżuazji, nie mógł pozostać obojętny.

Jak egzamin ten zdała Nałkowska świadczy jej nowa powieść *Romans Teresy Hennert*, która ukazała się w końcu 1923 roku.

Mówiąc o pierwszych latach istnienia państwa polskiego Stalin pisał:

„Państwo polskie wkroczyło w fazę zupełnego rozkładu. Finanse lecą na łeb na szyję. Złoty spada. Przemysł jest sparaliżowany. Narodowości niepolskie są uciskane. A w górze, w kołach zbliżonych do warstw rządzących panuje orgia nadużyć [1]).

Romans Teresy Hennert pokazuje i klasowy charakter powstałego państwa polskiego i jego rozkład. Pokazuje, jak państwo to służy interesom burżuazji, jest niespodzianą domeną Hennertów i Nawolewskich, areną ich oszukańczych afer i machinacji finansowych.

Na ich przykładzie dokumentuje Nałkowska tezę o tym, że dopiero w ramach własnego państwa burżuazja polska uzyskuje możliwości pełnego rozwoju. Dzięki niemu właśnie Hennert, początkowo subekt sklepowy, który na „odszkodowaniu za utratę czci" swej żony gruntuje własny interes handlowy, później spekulant wojenny — staje się dygnitarzem państwowym.

Na zarejestrowaniu tego stanu bystrość obserwacji Nałkowskiej. nie kończy się jednak. Obok zdemoralizownych i skorumpowanych warstw rządzących poważne miejsca w obrazie burżuazji polskiej zajmują te koła, które — po zakończeniu wojny odsunięte nieco na bok, nie zadowolone z podziału władzy i zysków — staną się w latach późniejszych awangardą polskiego faszyzmu, narzędziem wielkiego kapitału w walce z ruchem robotniczym. Tych ludzi — generała Chwościka, pułkownika Omskiego — zobaczymy w roku 1926 u boku Piłsudskiego. Ukazując klikę pułkownikowską i nurtujące w niej dążności faszystowskie popełnia jednak Nałkowska błąd wyzyskany przez krytykę burżuazyjną usiłującą stępić polityczne ostrze powieści.

Nieuniknionym skutkiem faszyzmu jest deprawacja moralna i etyczna jego zwolenników. Żadna ideologia polityczna nie zniekształca tak charakteru ludzkiego, nie rozwija tak zbrodniczych skłonności, nie wyrabia tak antyhumanistycznego, nieludzkiego stosunku do innych. Pułkownik Omski z *Romansu* jest i pod tym względem typowym faszystą. Nałkowska widzi ten związek między postawą polityczną a postawą moralną. Przedstawiając go jednak, miesza przyczyny ze skutkami. Omski dlatego właśnie jest faszystą, że skłonności psychiczne, moralne zniekształcenia pchają go w kierunku tego właśnie obozu. Oczywiście takie motywy związania się z faszyzmem nie są wykluczone. Na pewno jednak nie są one motywami typowymi — te leżą w płaszczyźnie zjawisk społeczno - politycznych.

Aby wyjaśnić postawę ideową Omskiego, musi zatem Nałkowska — na zasadzie przyjętej tezy — ukazać wszystkie skrzywienia psychiki pułkownika, całą historię jego kompleksów. W tym właśnie miejscu powieść społeczna, jaką z założenia — jest *Romans*, ociera się niebiezpiecznie o powieść psychologiczną, powieść o jednostkowych, autonomicznych przeżyciach i wzruszeniach. Jest to tym niebezpieczniejsze, że — jak wiemy — własna tradycja pisarska mogła Nałkowską ku takiej powieści naginać.

W tych właśnie partiach utworu Nałkowska, która po raz pierwszy w *Romansie Teresy Hennert* potrafiła całkowicie zastąpić prozę liryczno - wzruszeniową, prozą o pełnej komunikatywności, o pełnym walorze informacyjnym—znów powraca do starych środków wyrazu artystycznego. Jako całość jednak jest *Romans* niewątpliwie nowym etapem w rozwoju realizmu Nałkowskiej, etapem na którym walka o realizm jest już nie tylko walką o temat ale i walką o nowy sposób widzenia świata.

Kompromitacja burżuazyjnego państwa dokonywa się w *Romansie* poprzez dwie postacie: Andrzeja Laterny i porucznika Lina.

Andrzej Laterna — w zamierzeniu Nałkowskiej przedstawiciel ruchu rewolucyjnego — jest w powieści postacią najsłabiej chyba zarysowaną. I to nie tylko dlatego, że Nałkowska wyolbrzymia w nim nad miarę błędy luksemburgizmu, często zjawiające się w pierwszych latach działalności KPP. Ale dlatego, że jest postacią papierową, że ukształtowany został nie na znajomości rzeczywistych przedstawicieli Partii, ale na podstawie popularnych, schematycznych wyobrażeń rewolucjonisty. Nigdzie może tak dotkliwie nie dało się Nałkowskiej we znaki niedocenianie realiów, zaniedbania dokładnych studiów rzeczowych.

Lin natomiast — to postać pulsująca życiem.

Młody porucznik, który włożył mundur myśląc, że owocem jego żołnierskiego trudu będzie szczęśliwa i sprawiedliwa Polska. Pod tym względem Lin jest prototypem Cezarego Baryki z *Przedwiośnia* Żeromskiego. I podobnie jak Baryka szybko traci swe złudzenia:

„I Laterna wracał z Kresów, gdzie właśnie... Tam widzi się dopiero do czegośmy doszli... Porucznik także już o tym myślał. Białorusini, Ukraińcy — przecież to zupełnie to samo. Teraz decydują „względy państwowe", teraz się już przestało mówić o wyzwoleniu ludów. I to Polska, które przez tyle lat wiła się w kajdanach niewoli — teraz sama... Więc to właśnie jest niepodległość... Tutaj po więzieniach zamknięci siedzą ludzie — tylko za wyznawanie najwyższych, najszlachetniejszych idei..."

Porucznik usiłuje się buntować. Zbyt silne jednak okazują się więzy łączące Lina z klasami panującymi, aby je mógł zerwać, zbyt przesiąknięty jest nacjonalistyczną propagandą aby móc ją całkowicie odrzucić. Solidarność z ruchem rewolucyjnym staje się w oczach Lina — zdradą ojczyzny, którą zmyć można tylko samobójstwem. Lin nie pójdzie razem z Baryką — na Belweder.

Nie przypadkiem wspomnieliśmy tu *Przedwiośnie*. Oba tak bliskie chronologicznie utwory — *Romans Teresy Hennert* i *Przedwiośnie* — wyrastają na tej samej fali protestu przeciw rządom burżuazji polskiej, przeciw niesionej przez nie nędzy i uciskowi. Zapewne — trzeba to stwierdzić wyraźnie — *Romans Teresy Hennert* nie dorównywa arcydziełu Żeromskiego. Brak mu tej pasji demaskatorskiej, brak przede wszystkim rewolucyjnego — w swej obiektywnej wymowie — zakończenia. Ale i to nawet, co wspólne jest obu książkom dostatecznie wyznacza granice realizmu powieści Nałkowskiej. Twórczość największego pisarza epoki jest tu na pewno najlepszą miarą. Logiczną konsekwencją tak realistycznego widzenia rzeczywistości polskiej, jakie mamy w *Romansie Teresy Hennert* powinno być dla Nałkowskiej całkowite przejście na pozycje rewolucyjnego proletariatu. Tego kroku Nałkowska jednak nie uczyni. Dlaczego? Przyczyna tego leżała nie tylko w ideowej niedojrzałości pisarki. Rok 1923 był w Polsce momentem najwyższego wzniesienia fali rewolucyjnej po pierwszej wojnie światowej... Od tej daty zaczyna się odpływ tej fali, zaczyna się okres przejściowej stabilizacji kapitalizmu. Kiedy przyjrzymy się dynamice twórczości Nałkowskiej dostrzeżemy ścisły związek zachodzący między artystycznymi walorami jej pisarstwa a natężeniem ruchu rewolucyjnego. Ruch ten stanowi motor pisarskich osiągnięć Nałkowskiej. Nic dziwnego. W epoce imperializmu pisarz inteligencki wtedy tylko może tworzyć postępowe wartości artystyczne, kiedy pobudzany jest i pociągany przez rewolucyjną walkę klasy robotniczej, zapewniającą jego dziełu właściwe metody twórcze i klarowność ideowych intencji.

Działanie tych czynników osłabło po roku 1923. Tu leży przyczyna kilkuletniej regresji w twórczości Nałkowskiej. Cofnięcie to wyraziło się minimalizmem poznawczym *Domu nad Łąkami* (1925), ekspresjonistycznymi nalotami *Niedobrej miłości* (1928) i *Ściany Świata* (1931), utopiami „rewolucji moralnej" w *Choucas* (1927).

Zapewne żadna z tych pozycji nie jest pozbawiona elementów pozytywnych i postępowych. *Niedobra miłość* posiada ostre, demaskujące sanację akcenty; *Ściany Świata* rzucają kilka trafnych społecznych diagnoz przestępczości; *Choucas* podejmuje rzuconą przez Żeromskiego w ostatnim rozdziale *Wiatru od morza* krytykę imperializmu kolonialnego. Mimo to jednak wszystkie te elementy mają jedynie drugoplanowe znaczenie dla całej twórczości tego okresu. Rzeczywiste odnowienie realizmu przynoszą twórczości Nałkowskiej lata 1933 — 1935.

Lata 1933 — 1935 są okresem wzrostu sił faszyzmu we wszystkich państwach kapitalistycznych. W Polsce w latach tych dokonywa się całkowita faszyzacja kraju, uwieńczona w roku 1935 Konstytucją Kwietniową. Wzrast terror policyjny, zapełniają się więzienia i obozy koncentracyjne.

Na ofensywę faszyzmu — KPP odpowiada Generalną Kontrofensywą. Do walki z reżimem sanacyjnym porywa klasę robotniczą, masy chłopskie, inteligencję pracującą. W roku 1935 i 1936 montuje szeroki front antyfaszystowski przeciw nędzy, bezrobociu i przygotowywanej przez międzynarodowy faszyzm wojnie. „W tym okresie — pisze Bolesław Bierut — KPP walczy o stworzenie szerokiego antyfaszystkowskiego frontu ludowego pod hasłem: chleba, wolności, pokoju...

Kampania bojkotu sejmu zwołanego w 1935 roku na podstawie sfaszyzowanej ordynacji wyborczej, akcja o amnestię dla więźniów politycznych, akcja w związku ze zjazdem pracowników kultury w maju 1936 roku, kampania wokół powszechnego Kongresu Pokoju... akcja w obronie zagrożonej przez hitleryzm niepodległości — wszystko to były zręby szerokiego antyfaszystowskiego frontu ludowego pod wodzą komunistów".

We wszystkich tych poczynaniach Nałkowska bierze czynny udział. Żywo współpracuje z antyfaszystowskim pismem *Oblicze dnia*, jednolitofrontowej inteligencji polskiej, kierowanym przez Wasilewską, Kruczkowskiego i Borejszę. Pomaga więźniom politycznym, protestuje przeciw hitlerowskiemu terrorowi w Niemczech.

Z tych właśnie doświadczeń powstaje, wydana w 1935 roku *Granica*. *Granica* jest niewątpliwie arcydziełem Nałkowskiej. W żadnej ze swych powieści nie potrafiła Nałkowska dać takiej pełni realizmu. Realizm *Granicy* jest wielostronny. Pierwszą jego częścią składową jest obraz nędzy mas ludowych, bezrobocia i strajków, obraz stanowiący tło, na którym rozgrywa się główna akcja powieści. Akcja ta koncentruje się wokół dziejów Zenona Ziembowicza. Skonstruowanie tych dziejów jest dowodem mistrzostwa pisarskiego Nałkowskiej.

Pod piórem Nałkowskiej banalna i błaha na pozór sprawa romansu Zenona i Justyny staje się wykładnikiem stosunku nierówności między poszczególnymi klasami społecznymi, dowodem tezy, że nie ma dziedziny życia, do której nierówność ta by się nie zakradła. Ta świadomość, że nie ma zagadnień ani spraw społecznie niezdeterminowanych jest niezwykle ważnym osiągnięciem ideowej świadomości Nałkowskiej.

Z drugiej strony dzieje Ziembowicza to historia kariery urzędniczej młodego, zdolnego, ożywionego jak najlepszymi intencjami człowieka. Nałkowska pokazuje jak sytuacja społeczna całkowicie określa człowieka: Ziembowicz — skoro zdecydował się pójść na współpracę z reżymem sanacyjnym — musi z konieczności stać się jednym z trybów maszyny państwowej, jednym z elementów aparatu klasowego ucisku, jakim jest państwo burżuazyjne.

Z tym wiąże się najważniejsza funkcja społeczna i ideowa *Granicy*. Funkcja wyrastająca z działalności Frontu Ludowego. *Granica* to wielki apel do inteligencji polskiej, wskazujący jej, że jeśli nie przejdzie na pozycje czynnej walki z faszyzmem, to mimo swej woli i świadomości służyć musi kapitalizmowi w jego najbardziej nieludzkiej, faszystowskiej postaci.

Granica to ostatnie przed drugą wojną światową realistyczne osiągnięcie Nałkowskiej. Zwycięstwo faszyzmu w Polsce, klęska tych sił, które mu przeciwdziałały odbiły się wyraźnie na twórczości Nałkowskiej. Po tak wysokim wzniesieniu realizmu, jakim była *Granica* przychodzą *Niecierpliwi*, książka głęboko pesymistyczna i naturalistyczna. Katastrofalizm *Niecierpliwych* jest wynikiem tego, że pisarka w sposób skrajnie pesymistyczny ocenia perspektywy dalszego rozwoju politycznego i społecznego i pesymizm ten rzutuje na swą koncepcję losu ludzkiego.

I znów nic innego tylko wzmożenie ruchu rewolucyjnego, zwiększenie aktywności klasy robotniczej przynoszą odnowienie sztuki pisarskiej Nałkowskiej. Lata okupacji, walka narodu polskiego pod przewodnictwem PPR przeciw hitlerowskiemu okupantowi, zwycięstwo Armii Radzieckiej nad faszyzmem, zrzucenie jarzma kapitalistycznego i powstanie Polski Ludowej — te czynniki odbijają się wyraźnie na twórczości Nałkowskiej. Wpływ ich widać na drugiej części *Węzłów życia*, a przede wszystkim na *Medalionach*.

Jako członek międzynarodowej komisji badania zbrodni faszystowskich w Polsce miała Nałkowska okazję zapoznać się z hitlerowskimi miejscami kaźni i obozami koncentracyjnymi. W wyniku tych obserwacji powstały *Medaliony*, jedno z najbardziej wstrząsających oskarżeń faszyzmu w literaturze światowej. Wyrasta ono na gruncie tego samego humanistycznego stosunku do świata, który jak wskazywaliśmy — towarzyszy Nałkowskiej od zarania jej twórczości. Spokojna i świadomie rzeczowa narracja *Medalionów* ukazuje całe dno spotwornienia i zezwierzęcenia, do jakiego faszyzm może doprowadzić człowieka. Ta rzeczowość działa znacznie potężniej niż najwymowniejszy komentarz: nie można powstać od lektury *Medalionów* bez głębokiej nienawiści do faszyzmu i bez silnej woli zwalczania go wszędzie, gdziekolwiek się może zdarzyć.

Medaliony stanowią zamknięcie dotychczasowej twórczości Nałkowskiej. I zarazem są ostatecznym rozrachunkiem z epoką, w której przyszło pisarce tworzyć przez lat blisko czterdzieści — z epoką imperializmu. Książki, nad którymi teraz pracuje Nałkowska, powstają już w innych warunkach: w warunkach kształtowania się narodu socjalistycznego i wyrastania nowej, socjalistycznej moralności, która wciela wszystkie humanistyczne ideały współżycia społecznego, tak bliskie zawsze Nałkowskiej.

Dlatego też wierzymy, że nowe książki Nałkowskiej będą dalszym postępem na drodze rozwoju jej realizmu. Pisarz, który mimo wszystko potrafił być mu wierny w ciężkich i trudnych latach przeszłości, na pewno dziś go nie porzuci.

Janusz Wilhelmi

*) Patrz: „Wieś". Nr 24. 1952.

[1]) *Stalin: Dzieła t. VIII. Str. 176.* Książka i Wiedza 1951

JAN ZYGMUNT JAKUBOWSKI

ADOLF DYGASIŃSKI

(W 50-lecie śmierci)

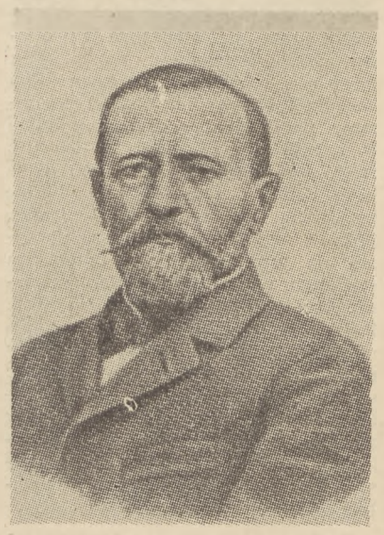

Adolf Dygasiński nie zajmuje w dziejach polskiej kultury tak wysokiego stanowiska, jak wielcy realiści krytyczni — Prus, Orzeszkowa, Żeromski. Pięćdziesiąt lat od śmierci pisarza — to jednak dostateczna próba czasu, aby stwierdzić, że milczenie lub zdawkowe formuły krytyczne, otaczające Dygasińskiego, to na pewno krzywda. Autor *„Zająca“* posiada w literaturze narodowej swoje odrębne i znaczne miejsce zarówno ze względu na wiele realistycznych treści swego pisarstwa, na trafne oberwacje społeczne, jak i ze względu na oryginalny artyzm w ukazywaniu człowieka i krajobrazu. I dlatego nie z racji okolicznościowo-rocznicowej kurtuazji, ale ze względu na rzeczywiste zaniedbanie naszych badań trzeba podjąć próbę nowego odczytania i nowej oceny tego zapomnianego klasyka polskiej prozy.

Nasza wiedza o Dygasińskim jest żenująco nikła. Bibliografia pisarza jest uboga tak ilościowo, jak — co ważniejsze — i ze względu na jakość wiedzy o pisarzu. Historia literatury zamknęła jego różnorodną spuściznę w kilku ogólnikowych formułach, jak np. „wybitny naturalista“, „Homer walki o byt“, „polski Kipling“ itp. Pisarz o bogatych i głębokich zainteresowaniach społecznych i kulturalnych, imponujący wielkością i wagą swego różnorodnego dorobku (był przecież wybitnym powieściopisarzem i nowelistą, płodnym publicystą, nowatorskim pedagogiem — teoretykiem i praktykiem, wreszcie pracowitym tłumaczem klasycznych dzieł pozytywistycznych), został przez mieszczańską krytykę wyraźnie zubożony. Ostatecznie i tak pozornie entuzjastyczna pochwała Dygasińskiego jako niezrównanego piewcy życia zwierząt była w istocie pomniejszeniem ideologicznych i artystycznych wartości dzieł pisarza i ich degradacją w dziejach literatury narodowej. Deprecjonowała ona rzetelnie humanistyczne i niejednokrotnie postępowe elementy krytyki społecznej zawarte w jego utworach. Nie wyjaśniła również sprawy Dygasińskiego teza zasłużonego badacza literatury pozytywistycznej, Zygmunta Szweykowskiego, na temat „Dramatu Dygasińskiego“, walki, jaką miały toczyć w duszy pisarza tendencje racjonalistyczne i materialistyczne, narzucone przez ideologię pozytywistyczną, z jakoby przyrodzonymi emocjonalno - irracjonalnymi właściwościami psychicznymi.

Jeśli w życiu i twórczości Dygasińskiego był w istocie dramat, to nie miał on charakteru niesprawdzalnego konfliktu między różnymi władzami psychicznymi. Był on — powtarzając formułę Norwida — *„wielce rzeczywisty“*. Zasadniczymi jego elementami były siły klasowe epoki, w szczególności sytuacja społeczna inteligenta pracującego, niejednokrotnie deklasowanego, borykającego się z uparcie trwającymi w Polsce reliktami feudalizmu, przeżywającego coraz głębiej w swoich doświadczeniach życiowych rozczarowanie do kapitalizmu i nie znajdującego drogi prowadzącej na pozycje proletariackie. Dzieje życia i twórczości Dygasińskiego ukazują przejmującą prawdę — podobną znajdziemy chyba w losach współczesnego mu wielkiego malarza, Aleksandra Gierymskiego — o losach radykalnego, uczciwego inteligenta - artysty w społeczeństwie kapitalistycznym w okresie lat osiemdziesiątych XIX wieku, kiedy burżuazja staje się klasą wyraźnie wsteczną i zaprzecza własną praktyką życiową głoszonym przez siebie hasłom humanitarnym.

Skrępowany cenzurą klasową nie zawsze mógł Dygasiński ostro odsłaniać nadużycia społeczne i moralne klas panujących. W listach Dygasińskiego są niejednokrotnie przejmujące akcenty rzeczywistego buntu społecznego przeciwko uciskowi i poniżeniu, jakie musiał przeżyć inteligent pracujący w latach utrwalania się sojuszu burżuazyjno - obszarniczego po załamaniu się pozytywistycznych dążeń w życiu i kulturze. Na dwa lata przed śmiercią pisał Dygasiński, który nie mogąc znaleźć innej drogi utrzymania, spędzał część swego życia w domach obszarniczych i burżuazyjnych, jako guwerner, do córki: „Widzisz, droga córeczko, w owej niby to mściwości losu, który nas rozdziela, jest pewna konsekwencja mojego życia. Zważ to tylko dobrze, a zobaczysz, jak dla mnie jest ciasno w owej Warszawie — prawie, że czuję ramiona, które mnie wypychają. Zresztą, czyżbym mógł na starość jeść chleb nawet jakiej synekury... Powiesić się u klamki jakiegoś Lewentala... Zwłaszcza teraz, gdy zostałem na prawdę weteranem życia. robię się ogromnie sztywnym, uparty do śmierci głodowej raczej. Nie o sobie tylko mówię, ile pragnę wytłumaczyć się przed Tobą, usprawiedliwić to położenie, że ojciec — — opuszczam swoje ukochane Dziecko. A cóż zrobię? Pójdę żebrać... Moralność sprzedaje się w dziennikach na funty, a w życiu jej nie ma“. Rozczarowany głęboko do praktyki burżuazyjnej skończył Dygasiński zupełną rezygnacją w życiu i twórczości. Odsunął się od walki o zmianę niesprawiedliwych stosunków społecznych. I to był prawdziwy „dramat“ życia i twórczości pisarza, który przecież rozpoczął od ostrej walki z zacofaniem feudalnym w Polsce, który przez długie lata obnażał — mimo wszystkich sprzeczności ideowych — kłamstwa i nadużycia społeczne i moralne obszarnictwa i burżuazji, a szczególnie — w najlepszych nowelach — ukazywał niedolę biedoty wiejskiej.

Postępowe, realistyczne cząstki pisarstwa Dygasińskiego a nie „Gody życia“ domagają się trwałego miejsca w dziejach literatury narodowej. W szkicu niniejszym podejmujemy próbę, fragmentarycznego choćby, zarysowania ewolucji ideologicznej i artystycznej Dygasińskiego. Przedtem trzeba zebrać w porządkującym zarysie materiały biograficzne. Dygasiński — to naprawdę pisarz nieznany.

* * *

Adolf Dygasiński urodził się 7 marca 1839 roku w Niegosławicach nad Nidą. Był synem oficjalisty dworskiego. Sytuacja materialna w domu rodzinnym była skromna. Dygasiński musiał wcześnie zarabiać na utrzymanie korepetycjami jako uczeń gimnazjum najpierw w Pinczowie, później w Kielcach (1858—1860).

Doświadczenia wczesnej młodości Dygasińskiego kształtowały się w środowisku folwarcznym, w kręgu oficjalistów dworskich, drobnej szlachty i chłopstwa. Dygasiński w dzieciństwie i młodości znał jeszcze stosunki pańszczyźniane, wystawił im surowe świadectwo w jednej z pierwszych nowel. *(„Podpalaczka“)*:

„I tylko wierutną przewrotność, fałsz tendencyjny może tę gorzką ale rzeczywistą prawdę przeszłości przyodziewać w jakieś mdłe sentymenta“.

Nieobojętną rzeczą dla zrozumienia późniejszych obrazów z życia biedoty wiejskiej, jakie tworzy Dygasiński w nowelach i powieściach, będzie stwierdzenie, że obserwacje społeczne przyszłego pisarza kształtowały się w ziemi Kieleckiej i Radomskiej (niebawem po powstaniu, zostanie Dygasiński guwernerem w dworze obszarniczym, w Wielgiem pod Radomiem), gdzie żywe były tradycje buntów chłopskich, gdzie w latach przedpowstaniowych dochodziło do wystąpień chłopskich. Przypomnijmy, że doświadczenia ubogiej, przeludnionej wsi kieleckiej wywarły niewątpliwy wpływ i na realistyczne malarstwo *Józefa Szermętowskiego* i na realistyczny obraz życia biedoty wiejskiej w nowelach i powieściach *Żeromskiego*. Z obserwacji Kielecczyzny czerpał również *Wacław Nałkowski* argumenty do walki z tendencjami ludomańskimi, pragnącymi utrzymać niski poziom cywilizacyjny wsi polskiej.

W roku 1862 zapisał się Dygasiński na wydział filozoficzny w Szkole Głównej w Warszawie. W okresie powstania był więziony (w Olkuszu). Później próbował kontynuować studia w Warszawie, następnie w Pradze. Przerwał je ze względu na brak pieniędzy.

W roku 1871 zamieszkał Dygasiński w Krakowie. Zużytkował zdobyte w pracy guwernerskiej doświadczenia zakładając pensjonat dla uczniów. Pierwsze lata pobytu w Krakowie — to okres względnej stabilizacji w życiu pisarza. W roku 1873 otworzył Dygasiński niewielką księgarnię nakładową. Wspomnienia rodziny, przyjaciół podkreślają niejednokrotnie „niesłychaną niepraktyczność, uczynność, łatwowierność“ Dygasińskiego (słowa córki pisarza, Zofii Wolertowej). Nie ta jednak niepraktyczność życiowa zadecydowała o bankructwie księgarni. Odwołajmy się do wyjaśnień świadka tych lat, Aleksandra Świętochowskiego, który wracając ze studiów w Lipsku zamieszkał w r. 1875 w Krakowie *(Pamiętnik)*:

„Odnająłem pokoik u Dygasińskiego, z którym wkrótce zawiązałem się stosunkiem serdecznym. Był to człowiek bardzo dobry, biedny i nieszczęśliwy... W Krakowie otworzył z siostrą maleńką księgarnię, którą kler za sprzedaż wydawnictw nieprawomyślnych obłożył klątwą. Obecne pokolenia z trudnością mogą sobie wyobrazić terror, jaki wywierało duchowieństwo pod komendą wojowniczego księdza Goliana. Był on poprzednio aktorem trupy prowincjonalnej i gdy raz mając wybiec na scenę w postaci lwa, niosąc na grzbiecie kobietę, skutkiem zbyt gwałtownego ruchu wysunął się ze skóry i wywołał śmiech widzów, porzucił ten zawód i wstąpił do seminarium. Zachował jednak nawyknienia aktorskie. Na ambonie w kościele Panny Marii, gdzie miewał kazania kościelne, rzucał się konwulsyjnie, deklamował komediancko i ciągle gromił niedowiarków. Spostrzegłszy za szybą wystawową Dygasińskiego litografię Matki Boskiej, leżącą na dziełach Darwina, wpadł z hałasem i kazał usunąć obrazek. Jakiś młody ksiądz, stanąwszy przed księgarnią Gebethnera przypatrywał się fotografii śpiewaczki, która miała dać koncert. Przechodzący Golian skarcił go za to znieważanie szaty kapłańskiej, oglądaniem wizerunku „jawnogrzesznicy“. Pod tym terrorem odstraszającym klientów od księgarni Dygasińskiego, wchodzili oni do niej tak rzadko, że często dzienny dochód ze sprzedaży nie przekraczał jednego guldena. Tyrania kleru wzmogła się szczególnie po wydaniu przez Dygasińskiego dzieł Darwina w przekładach polskich. Wytrzymał on dzielnie wszystkie ataki, pomimo, że ogołacały go one i groziły nieuniknionym bankructwem. Nieustraszony wydał oba moje dramaty *(Ojciec Makary, Niewinni,* przyp. J.Z.J.). Bądź skutkiem inkwizytorskiego prześladowania i bigoteryjnie nastrojonej inteligencji miejscowej, bądź skutkiem małej poczytności tego rodzaju utworów, bądź skutkiem samowolnego bez mojej wiedzy przedruku *Niewinnych* przez Wiślickiego w Warszawie rozsprzedaż obu dramatów ograniczyła się do kilkudziesięciu egzemplarzy. Nie otrzymałem za nie żadnego honorarium, a gdy już po moim wyjeździe z Krakowa wierzyciele Dygasińskiego zamknęli księgarnię nie dostałem z przymusowej licytacji ani jednego egzemplarza. Mimo to nie miałem do nieszczęśliwego nakładcy pretensji, bo widziałem jego tragedię i byłem pewien, że wyszedł z niej zupełnie ogołocony“.

Przytoczyliśmy obszerniejszy fragment relacji Świętochowskiego, bo tłumaczy od dość wiernie przyczyny bankructwa księgarni Dygasińskiego. Padła ona ofiarą terroru stańczykowsko - klerykalnego. Dygasiński w swoich wydawnictwach (on sam był najczęściej tłumaczem, jak np. książki M. Müllera — *Religia jako nauka porównawcza,* Kraków 1874) próbował popularyzować elementy naukowego poglądu na świat i szerzyć tradycje postępowej materialistycznej nauki mieszczańskiej. W tym celu zorganizował „Bibliotekę umiejętności przyrodniczych“. Niewątpliwie i wydanie *Ojca Makarego* musiało wywołać wściekłość sfer konserwatywno-klerykalnych dominujących w ówczesnym Krakowie.

Krakowski okres w życiu pisarza skończył się w sposób dramatyczny. Dygasiński opuścił miasto nagle, księgarnia została zlicytowana. Powtórzyła się w pewnej mierza historia przedsiębiorstwa Balzaka. „Zapewniam Cię — pisał do Kazimierza Bartoszewicza (wespół z którym wydawał w latach 1875 — 1876 tygodnik pt. *Szkice społeczne i literackie)* — że z chwilą objęcia jakich bądź obowiązków zechcę płacić, com komu winien. Krok rozpoczliwy zrobiłem, ale punktu wyjścia dla mnie w Krakowie i za 100 lat nie było“. Łudził się jeszcze Dygasiński nadzieją zrobienia kariery materialnej... na dostawach w wojnie bałkańskiej. W cytowanym liście do Bartoszewicza donosił. „Róbcie, co można ja się odkryję, jeśli dostanę posadę przy liwerancie jeneralnym głównego sztabu w Bukareszcie, to zrobię interes i w krótkim czasie zapłacę te świństwa, które mię do szaleństwa doprowadzają. Szanse są grube...“.

Dygasiński nie zrobił majątku na dostawach wojennych. Do Bukaresztu nie pojechał. Osiadł w Warszawie i zaprzągł się do taczki dziennikarskiej (m. in. w *Przeglądzie Tygodniowym).* Jednocześnie wzmocnił działalność pedagogiczno - praktyczną (uczył np. w słynnej postępowej wówczas szkole Hermana Benniego 1880 — 1885, w której pracował również Ignacy Radliński. Szkoła została zamknięta przez Apuchtina) i teoretyczną (wydał m. in. w roku 1882 pracę pt. *Pierwsze nauczanie w domu i szkole).* W latach 1884—85 ukazały się w wydawnictwie książkowym pierwsze trzy serie nowel Dygasińskiego.

Lata osiemdziesiąte—to okres najbujniejszej działalności pisarskiej i społeczno-organizacyjnej Dygasińskiego. Ukazało się wówczas poza wspomnianymi trzema seriami nowel: *Na pańskim dworze* (1884). *Von Molken* (1885), *Na warszawskim bruku* (1885), *Nowe tajemnice Warszawy,* 2 t. (1887), *Z siół, pól i lasów,* zbiór nowel 2 t. (1887), *Nowele* 2 t. *Beldonek* (1888). *Z ogniw życia,* nowele 2 t. (1886). *Z zagonu i bruku,* nowele 2 t. (1889), *Kuba Gąsior* (1889), *Pan Jędrzej Piszczalski,* 2 t. (1890) (m. in. cykl pt. *Luźne uwagi o konserwatyzmie i postępie,* w *Wędrowcu,* 1886). W tym również czasie jest Dygasiński członkiem redakcji *Wędrowca* (1884—1887) i *Głosu* (w początkowym okresie czasopisma) oraz inicjatorem takich czasopism, jak *Przegląd Pedagogiczny* i *Wisła.* W latach 1890 i 1891 przebywał w Brazylii, gdzie badał warunki życia polskich emigrantów. Stąd powstała m. in. powieść o chłopskiej emigracji pt. *Na złamanie karku.*

U schyłku lat osiemdziesiątych Dygasiński musi Warszawę opuścić. Wraca znów do guwernerki. Biografowie pisarza tłumaczyli ten fakt bardzo prosto: Dygasiński, piewca uroków przyrody „Homer“ życia zwierzęcego najlepiej czuł się na wsi. Naiwność tej interpretacji nie wymaga komentarzy. Dygasiński nie tylko na wsi szukał środków do życia. Pertraktował m. in. o objęcie funkcji nauczyciela domowego w rodzienie fabrykanta łódzkiego Poznańskiego, a w roku 1900 był guwernerem... w Petersburgu u dyrektora banku Azowsko-Dońskiego. W sposób bardziej wiarogodny tłumaczył swe niedole życiowe sam Dygasiński: „...wziąłem się znów do belferki, ponieważ literatura ,mimo dużej pracy z mej strony, licho mi służyła. Obuczam i wychowuję młodego hrabiego (Jana Karola) Chodkiewicza... Chłopiec jest starszy (18-letni), dostatecznie pilny i wcale nieźle wychowany...“.

Kiedy przeglądamy listy Dygasińskiego z Młynowa czy Massalan, z siedzib bogatych obszarników, gdzie pisarz był nauczycielem domowym, trzeba pamiętać, że pisał je nie początkujący autor, lecz twórca wielu popularnych powieści i nowel, wybitny pedagog, człowiek, który wielu inicjatorskimi akcjami zaznaczył trwałe ślady w dziejach kultury narodowej. Trudno wówczas bez wzruszenia czytać, jak głośny pisarz pociesza się, że oto hrabia - wychowanek jest „...wcale nieźle wychowany...“. Bywało inaczej. Jeszcze w roku 1876 w czasopiśmie krakowskim *Szkice społeczne i literackie* w *Listach o naszym wychowaniu* wyjaśniał Dygasiński poniżającą sytuację nauczyciela domowego w rodzinach bogatego obszarnictwa i burżuazji:

„Dzieci wychowane w domu rodziców ubogich, nie posiadających środków na utrzymanie bon i guwernerów, którzy *częstokroć w domach możnych są tylko naukowymi lokajami* (podkreślenie J.Z.J.) dzieci takich biedaków wychodzą, jak to mówią, na ludzi. Tymczasem wielcy panicze uczą się źle w ogóle i tylko wyjątkowo można od nich oczekiwać przymiotów pożądanych w każdym człowieku“.

Jeśli nawet wiele położymy na karb nieporadności i niepraktyczności życiowej Dygasińskiego, to przecież w jego losach mamy prawo odczytać dość typową sytuację polskiego pisarza u schyłku XIX wieku, pisarza broniącego swej niezależności od burżuazyjnego wydawcy. Dygasiński, cokolwiek powiemy o jego licznych sprzecznościach i błąkaniach ideologicznych — nie został płatnym apologetą sojuszu burżuazyjno - obszarniczego. Nieuchronnie musiał doczekać się losu „proletariatu naukowego“, o którym pisał w. roku 1884 *(Przegląd Tygodniowy Życia Społecznego, Literatury i Sztuk Pięknych)* polemizując z burżuazyjną tezą o nadprodukcji w Polsce ludzi zajmujących się nauką: „Nie trzeba tylko krakać złowieszczo po parę kopiejek za wiersz, nie trzeba ludzi zniechęcać bajkami o hyperprodukcji inteligencji, kiedy dokoła panuje nieuctwo i ciemnota. Zaiste, zbiry odbierają tylko kieski i czasem życie jednostkom, ale tego rodzaju pisarze odbierają społeczeństwu to, co może je jedynie odrodzić i podnieść“.

Dygasiński zmarł w Grodzisku pod Warszawą dnia 3 czerwca 1902 roku. Pochowany został na Powązkach.

c. d. n.

Jan Zygmunt Jakubowski

JUAN SERRAVEIRA

LIST Z BOLIWIJSKIEGO PIEKŁA

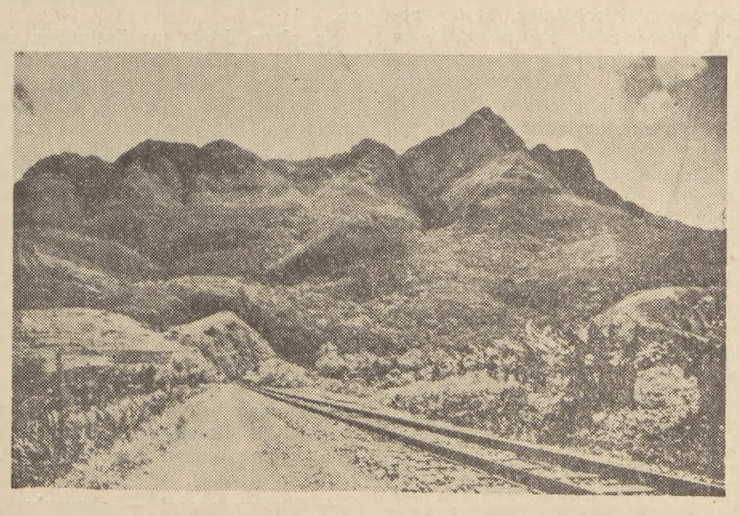

BOLIWIA, kraj tysiąca skarbów, z których najważniejszym jest cyna (1/4 produkcji kapitalistycznej) — była do ostatnich dni kolonią kapitału finansowego Wall Street i londyńskiej City.

Do ostatnich dni, nie dawno bowiem zaszły tu pewne zmiany i przyszłość rozstrzygnie, czy istotnie powstał wyłom w obozie imperialistów i czy Stany Zjednoczone odczują to boleśnie na kieszeni (cyna), czy też z utworzeniem rządu Estensera — będzie to jeszcze jeden więcej rząd Pandit Nehru, Mossadeka czy Schumachera.

Z jednej strony nowy rząd podwyższył cenę cyny ze 112 centów za 1bs (funt angielski) na 181 centów i przemysł zbrojeniowy USA musi choć ze zgrzytaniem zębów tę cenę płacić, bo przecież cyna boliwijska to 50% całego importu Stanów Zjednoczonych — ale z drugiej strony Wall Street niechętnie płaci za towar, którzy tym czy innym szantażem mogła by mieć pół darmo.

A przecież wypróbowana forma szantażu to właśnie takie niby demokratyczne rządy, jak w Indiach, czy w Iranie Oczywiście porównywać nie można sytuacji kolonii i Europy. Europa, a więc i Zachodnie Niemcy, ma silną, świadomą swego znaczenia i celów klasę robotniczą, czego w koloniach ze względu na ich małe uprzemysłowienie i niski poziom oświaty daremnie na razie szukać. Tam też udają się imperializmowi sztuczki, na które w Europie nikt się już nie da złapać.

Demokracje burżuazyjne, gdy zajrzeć im pod podszewkę liberalnego płaszcza, którym się okrywają ,okazują się zawsze rządami reakcji.

Dlatego też z ostrożnością patrzy część uświadomionych robotników robotników Boliwii na poczynania nowego rządu.

Na razie w życiu robotników nic się jeszcze nie zmieniło. Na razie pracuja w tych samych warunkach i w tej samej nędzy, co za rządów dyktatury. W kopalniach cyny zarobek mimo podwyżki cen na cynę boliwijską pozostał ten sam: 10 centów za dniówkę, tj. około trzech złotych.

A jak pracują...

✣

Z ośmiu, z dziesięciu, z dwunastu kraterow biją płomienie pod gwiaździste niebo.

Jest zimna noc.

Jesteśmy na wysokości 5.000 metrów nad poziomem morza. Płomienie wydobywają się z pieców prażalniczych, w których oczyszcza się rudę cyny. Te piece to prażalnia „św. Teresy“ pod Oruro. Święta, której imienia nadużyto dla najwyżej na świecie położonych zakładow hutniczych — gdyby naprawdę istniała, pewnie nie miałaby ani jednej spokojnej nocy w swym grobie. Piece huty cyny pożerają nie tylko rudę i paliwo, ale i niezliczoną ilość istnień ludzkich. Ludzie, Indianie z gór boliwijskich, pracują kaszląc w żarze wielkich pieców, dowożą rudę, węgiel, mokną, by nigdy nie wyschnąć, przy ptuczkach, kąpią się w pocie przy zgniataczach — i w dzień, i w noc od chwili narodzin do szybko tu nadchodzącej śmierci wdychają zgubny, trujący gaz, ulatniający się z wielkich pieców. Ten gaz — to tlenek arsenu.

Trujący podmuch wieje mi prosto w twarz, pali płuca, muszę kasłać, kaszlę ,aż oddech mój zamienia się w bolesną zadyszkę.

W tym momencie ostry dźwięk przerywa względną ciszę nocy. Znam ten dźwięk. Znam ten głos, słyszałem go w chilijskich saletrowniach, na brazylijskich plantacjach kawy, na robotach kolejowych w Stanach Zjednoczonych. Jest to wezwanie do pracy, grzmiący rozkaz, który ogłasza jakiś majster, bijąc młotem w wiszący kawałek szyny.

To sygnał zmiany.

Ze wszystkich katów widzę gramolących się półprzytomnych ludzi. Zmiana oznacza dla indiańskich robotników wysiłek mięśni i wydajność pracy, przekraczające w rzadkim powietrzu wysokogórskim znacznie możliwości ludzkie. Nowy dzień pracy to nie tylko zarobek. Każda zmiana zaczyna się tu od dostarczenia robotnikom suszonych liści kokainowca.

Serce ludzkie nie wytrzymuje pracy na wysokości 5.000 metrów, niczyje płuca nie znajdą tu wystarczającej ilości tlenu i żaden organizm nie oprze się istniejącemu tu niskiemu ciśnieniu.

Ale liście kokainowca zwyciężają naturę!

Z rozpoczęciem każdej zmiany wydziela się porcję suszonych liści kokainowca, praca rozpoczyna się z półgodzinnym opóźnieniem, a Indianie żują chciwie, żują, aż trucizna zaczyna działać. Przed chwilą jeszcze osłabione ,sflaczałe mięśnie i tępe, bez wyrazu oczy ożywają, mięśnie prężą się, oczy błyszczą, to nie cud — to kokaina, przyjaciel niosący śmierć. Niepracujący nie otrzymują tego przydziału, a cocca jest dla Indian jednoznaczna z życiem, choć to życie jest biedne i planowo zatruwane.

Już noworodek ssie z mlekiem matki narkotyk, a na dziesięcioro dzieci, sześć rodzi się ślepych.

Zatruty kokainą robotnik nie doczeka się starości — gdy ma 30 lat zaczyna się gwałtowny upadek sił i 40-letni należą tutaj do wyjątków.

Właściciele kopalń to nie martwi, werbują robotników w całym kraju i ciągle nowi Indianie ciągną przez płaskowyże i przepaści Kordylierów i Andów po pracę, zarobek i kokainę.

Ciasne, jedna obok drugiej wykute w jednolitej skale widnieją jaskinie-mieszkania indiańskich robotników — często przyczepione do wiszarów skalnych, jak jaskółcze gniazda.

Przed jedną z tych jaskiń jakieś zgromadzenie. Nie rozumiem gardłowej mowy Indian. — Pytam po hiszpańsku. Bezdźwięcznie usuwają mi się z drogi, dając wolne wejście do jaskini. Czołgam się do środka, gdy oczy moje oswajają się z ciemnością widzę: oto mały Indianin przyszedł na świat — malutki szkielecik z twarzą starca, a w oczach położnicy błyszczy radość. Ta sama radość, którą miliony kobiet piękniejszego świata odczuwają po porodzie.

„No sego“ — mówi położnica dumnie i wydaje mi się, że w jej surowych rysach widzę cień tkliwego uśmiechu. — „No sego“ — „nie ślepy“.

Opuszczam „Św. Teresę“ — muszę i ja jeszcze raz żuć gorzkie, jakby skórzane liście. Droga przez płaskowyże jest daleka a brak tlenu silniejszy od mego ciała i woli.

Żuję i połykam wstrętny, o metalicznym posmaku sok. — Potem czuję, jak nowe siły zdają się krążyć w moim ciele — serce moje bije znowu rytmicznie i płuca oddychają swobodnie.

Idę — daleko za mną pozostają wielkie piece „Świętej Teresy“. Tylko płomienie wydobywające się z ich otworów drżą jak ognie piekieł, rzucając czerwoną poświatę na strome zbocza Kordylierów.

✣

Spotkałem karawanę mułów, które obładowane koncentratami cyny kroczą zwolna ścieżką do miasta. Kulawe, z opuszczonymi głowami, wyczerpane do ostateczności zwierzęta i kulawy, tak jak one, wyczerpany poganiacz. Kulawy poganiacz? — Tak. Zamiast jednej nogi ma drewnianą protezę. Wózek z rudą zmiażdżył mu przed kilku laty nogę i teraz, kuśtykując na drewnianej, pogania muły przez płaskowyż. W oczach zwierząt nie ma blasku —

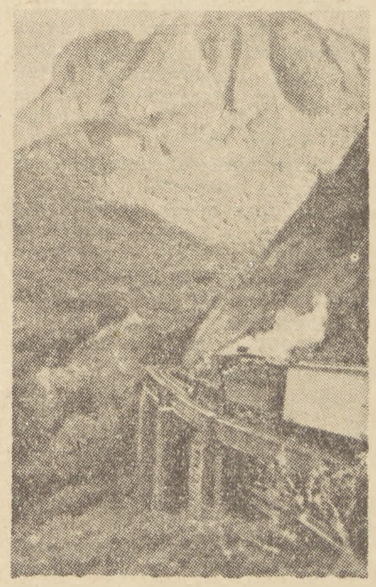

jest w oczach człowieka, gdy mówi— podczas długiej rekonwalescencji po amputacji nogi zapoznał się z socjalizmem — gdy mówi. o zmianach, których oczekuje on i jego uświadomieni towarzysze.

— Nie czekamy z założonymi rękami — zwraca się do mnie — coraz więcej broszur, coraz więcej zrozumienia wśród wyzyskiwanych i coraz bliżej dzień gniewu ludu. Estensero, nie Estensero, ale my musimy wziąć władzę — by wreszcie skończyć choćby z tym, co senor widział na „Świętej Teresie“.

✣

Słychać pomruki nadchodzącej burzy.

Tłum. Jawicz

NATALIA GĄSIOROWSKA

KSIĄŻKA O ŻYCIU I DZIAŁALNOŚCI PREZYDENTA BIERUTA

„NASZ GOSPODARZ" — to proste określenie zawierające głęboką treść szacunku i zaufania dla człowieka kierującego myślą i czynem całego narodu, rozpowszechniło się szeroko i mocno utrwaliło w naszym społeczeństwie w zastosowaniu do Prezydenta Bieruta, świadcząc o przywiązaniu narodu do pierwszego Budowniczego Kraju.

Książka Kowalczyka[1]) przedstawia życie Prezydenta od dzieciństwa

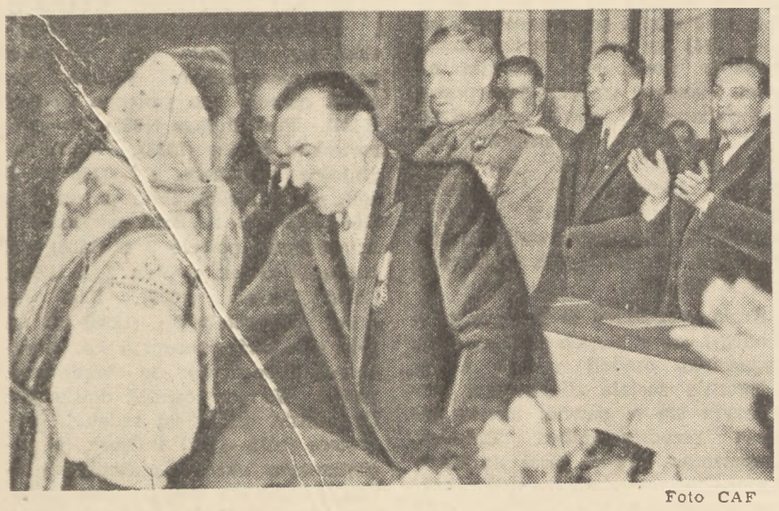

Foto CAF

spędzonego w trudzie i niedostatku poprzez „górną i chmurną" młodość rewolucjonisty i wiek męski — wiek ciężkich walk zakończonych ostatecznym triumfem.

Te etapy życia Bolesława Bieruta, to jednocześnie dzieje całego proletariatu polskiego, który po latach ucisku społecznego i narodowego, ciężkich bohaterskich walk o wyzwolenie spod jarzma caratu, sanacyjnej burżuazji i niemieckiego faszyzmu zwycięsko ujął rządy w swe ręce. Życie jednego człowieka jest tu jakby wykładnią losów narodu w ciągu 60-lecia 1892 — 1952.

Bolesław Bierut urodził się w r. 1892, w roku pierwszego strajku powszechnego w robotniczej Łodzi. Uczył się w szkole rosyjskiej. Dzieciństwo przeżył wraz z rodziną w trudnych warunkach pracy i niedostatku.

W r. 1905 długoletnia podziemna walka ludu z caratem wybuchła w postaci rewolucji, pierwszego po Komunie Paryskiej potężnego ruchu klasy robotniczej. Młody chłopiec na swoim szkolnym odcinku życia włączył się czynnie do powszechnego „buntu", w rezultacie został usunięty ze szkoły.

Kończyło się dzieciństwo, zaczynała się trudna młodość. Przerzucanie się do coraz to innego okolicznościowego zajęcia zarobkowego nie zahamowało upartego dążenia do samokształcenia, do gromadzenia wiedzy, uporczywego poszukiwania podstaw światopoglądu naukowego w oparciu o bogatą lekturę, wykłady, dyskusje z towarzyszami i czujną obserwację rzeczywistości społecznej. Młody Bierut traktował życie jako walkę, której celem było pokonanie despotyzmu carskiego i zniesienie niesprawiedliwego systemu krzywdy społecznej. To wpłynęło na jego ideową i umysłową dojrzałość, na ukształtowanie się wolnej od dogmatów myśli, na zahartowanie charakteru człowieka ofiarnie oddanego sprawie.

Po r. 1905 nastąpił okres reakcji terroru. Kapitulanctwu zastrachanych liberałów burżuazyjnych przeciwstawiały się rosnące siły proletariatu gotującego się do nowej walki, czekającego na przypływ fali rewolucyjnej. W oparciu o tradycje walk 1905 r. krzepły siły nowych bojowników w nielegalnie działających organizacjach socjalistycznych: SDKPiL oraz PPS-Lewicy, w postępowych stowarzyszeniach oświatowych, oddziałujących zwłaszcza na młodzież i przygotowujących nowe kadry działaczy społecznych. Młody Bierut wchodzi tu w szranki walk o postęp, o wolność narodu, o wyzwolenie mas robotniczych od kapitalistycznego ucisku.

Po wybuchu pierwszej wojny imperialistycznej Bolesław Bierut na terenie Lublina brał udział w akcji prowadzonej przez obydwie partie socjalistyczne przeciw wojnie, przeciw imperializmowi. Pracował głównie w zakresie spółdzielczości, z którą wiązał działalność oświatowo-kulturalną wśród robotników.

Nadszedł rok 1917. Do Polski docierają wiadomości o zwycięstwie Wiekiej Rewolucji Październikowej, o przejściu władzy w ręce robotników i chłopów, o ogłoszonej przez nowy rząd zasadzie swobodnego stanowienia narodów o swym losie, o przyjaznej ręce, wyciągniętej przez młodą rewolucję do ludów całego świata.

W tym czasie Bolesław Bierut, ukrywał się na wsi przed okupantem austriackim, poznając życie chłopów, którzy mieli stać się sojusznikiem proletariatu w walce wyzwoleńczej. W r. 1918 przybył do Warszawy. Kończyła się wojna. Organizowały się Rady Delegatów Robotniczych. Bierut brał udział w ich akcji, początkowo na terenie Warszawy, następnie Lublina. Po powstaniu Komunistycznej Partii Polski Bierut stał się jej członkiem, jako człowiek dojrzały do czynu, do walki w szeregach robotniczych.

Wysłany przez Partię na robotę do Zagłębia, kilkakrotnie aresztowany i więziony organizował spółdzielnie robotnicze rozporządzające własnymi świetlicami, bibliotekami w celu związania z politycznym ruchem robotniczym i wyzyskania wszystkich form łączenia pracy legalnej z podziemną. W Warszawie jako człowiek posiadający doświadczenie pracy legalnej zajmował kierownicze stanowisko w Związku Robotniczych Spółdzielni Spożywców, brał jednocześnie żywy udział w pracy na terenie Uniwersytetu Ludowego, Kasy Chorych, Spółdzielni Mieszkaniowej.

W okresie stabilizacji rządów piłsudczykowskich po r. 1926, Bierut stanął do walki partyjnej przeciw dyktaturze sanacyjnej. Jednakże groźba poważnego oskarżenia za działalność w Zagłębiu zmusiła go do schronienia się za granicę. Okres emigracji wyzyskał dla pogłębienia swej wiedzy społeczno-ekonomicznej, w Moskwie zaś studiował marksizm-leninizm.

W r. 1931 Bolesław Bierut wrócił do kraju, gdzie początkowo stanął do pracy partyjnej w okręgu łódzkim, następnie objął kierownictwo MOPR-u, organizacji pomocy rewolucjonistom przeznaczonej przez partię komunistyczną do walki z faszyzmem poprzez pomoc i opiekę udzielaną ofiarom rządowego terroru.

W końcu r. 1933 Bierut został aresztowany i skazany na długoletnie więzienie, z którego został zwolniony w końcu 1938 roku, już po rozwiązaniu KPP.

W czasie wojny Bolesław Bierut przebywał początkowo w Lublinie, po wkroczeniu okupanta przedostał się do Związku Radzieckiego. W r. 1943 z Mińska wrócił do kraju i stanął do pracy w kierownictwie nowopowstałej Polskiej Partii Robotniczej, która dążyła do utworzenia szerokiego frontu narodowego pod kierunkiem klasy robotniczej dla walki o narodowe i społeczne wyzwolenie Polski spod jarzma faszystowskiego. PPR wiązała sprawę wyzwolenia „z wiarą w zwycięstwo państwa socjalistycznego, ZSRR, w wojnie z niemieckim faszyzmem" (Bierut). Był to szczególnie ciężki okres walki z okupantem. W bohaterskiej walce z okupantem i rodzimą reakcją PPR wykuwała swój rewolucyjny program działania w oparciu o bojowy sojusz robotników i chłopów, w łączności z bohaterską walką ZSRR. W tej walce, która budowała fundamenty przyszłej Polski, brał jak najczynniejszy udział Bolesław Bierut.

W ciężkich zmaganiach z hitlerowskim napastnikiem zwyciężała Armia Radziecka, wraz z nią dywizje polskie. W Warszawie formowała się polityczna reprezentacja narodu — Krajowa Rada Narodowa, której przewodnictwo KC PPR powierzył Bolesławowi Bierutowi. Na pierwszym historycznym posiedzeniu KRN na przełomie 1943/44 r. został uchwalony program walki narodowo - wyzwoleńczej przekształcenia gospodarczej i politycznej struktury kraju. KRN toczyć musiała ostrą walkę z reakcją polską w kraju i za granicą. Przewodniczący KRN wiele uwagi poświęcał sprawie konsolidacji partii biorących udział we froncie narodowym, umocnieniu jednolitego frontu robotniczego i sojuszu — robotniczo - chłopskiego. Wzrastała rola polityczna rad narodowych, krzepła siła bojowa Armii Ludowej, z którą łączyły się Bataliony Chłopskie.

Gdy Armia Czerwona a wraz z nią Armia Polska przekroczyła Bug, wydany został w dniu 22.VIII. 1944 r. Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego powołanego przez KRN, określający główne wytyczne nowej władzy ludowej. Bierut z Warszawy przedostał się do swego rodzinnego miasta Lublina, do którego PKWN przeniósł się z Chełma i stanął na czele Komitetu. Odtąd stał się „sternikiem rewolucyjnych przemian" w Polsce.

Reforma rolna, nacjonalizacja wielkiego przemysłu, banków i transportu stwarzały warunki dla przebudowy ekonomiki kapitalistyczno-obszarniczej na socjalistyczną. Dokonana została wielka praca w kierunku zespolenia sił narodu dla walki z reakcją, w celu zapewnienia dalszego rozwoju na drodze postępu i przebudowy społecznej. „Przyszłość Polski pragniemy oprzeć na potężnych i niewyczerpalnych zasobach własnej siły twórczej polskiego robotnika, chłopa, inteligenta, pracownika umysłowego", mówił Bolesław Bierut na otwarciu Sejmu Ustawodawczego, na którym został obrany Prezydentem Rzeczypospolitej. Rozwijała się odbudowa zniszczonego kraju, umacniała się polskość na ziemiach odzyskanych, w życie wchodził pierwszy długofalowy 3-letni plan gospodarczy, przyśpieszany przez rozpowszechniające się współzawodnictwo w pracy. W całym tym wielkim, twórczym procesie ekonomicznym, politycznym, kulturalnym, ogólnonarodowym Prezydent Bierut brał jak najczynniejszy bezpośredni udział, szczególną troską otaczając dzieło odbudowy umiłowanej przez naród stolicy. Przełamując przeszkody, opory zmierzał ku utrwaleniu więzi między inteligencją i ludem, ku poparciu produkcji przez naukę i oświatę, ku usprawnieniu metod pracy.

Bolesław Bierut kierował walką o jednolitą linię Partii. Po przezwyciężeniu odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego umocniła się „świadomość wielkiej przodującej roli ZSRR i WKP(b) w walce o wyzwolenie człowieka, w walce o postęp świata, w walce o niepodległość i suwerenność Polski" Na Kongresie Zjednoczeniowym Prezydent Bierut, referując sprawy podstaw ideologicznych Zjednoczonej Partii dokonał przeglądu 70-letnich dziejów ruchu robotniczego, rewolucyjnych tradycji polskich leżących u podstawy Demokracji Ludowej. Pod kierownictwem Bolesława Bieruta została opracowana Deklaracja Ideowa PZPR, marksistowsko-leninowski Statut Partii, ustalono wytyczne 6-letniego Planu budowy fundamentów ustroju socjalistycznego. Prezydentowi Bierutowi powierzone zostały funkcje Przewodniczącego Komitetu Centralnego Partii.

W etapie zaostrzającej się walki sił obozu Pokoju i Postępu z obozem wojny i reakcji, Bolesław Bierut wytyczył w imieniu kierownictwa Partii jej linię polityczną, sformułował zadania: „Partia nasza kosmopolityzmowi i nacjonalizmowi przeciwstawia prawdziwy patriotyzm i proletariacki internacjonalizm". Na punkcie osiągnięć planu 3-letniego Polska Ludowa wykonując testament całych pokoleń walczących o Polskę wolną i ludową, wytyczyła śmielsze jeszcze cele w Sześcioletnim Planie budowy podstaw socjalizmu. „Przyjaźń, przykład, pomoc ZSRR — oto podstawowe źródło naszych zwycięstw", stwierdził Bolesław Bierut, podkreślając szczególnie zasługi Stalina w dziele wskrzeszenia i zabezpieczenia bytu narodowego Polski.

Zmieniała się struktura zawodowa ludności polskiej, powiększała się klasa robotnicza, czołowa siła narodu. „Posunęliśmy się już znacznie po drodze przekształcania się w naród socjalistyczny" (Bierut). Hasło ogólnarodowego frontu walki o Pokój i Plan 6-letni stało się potężnym orężem Polski Ludowej. Sprawa spółdzielczości produkcyjnej na wsi, rozbudowa przemysłu ciężkiego wystąpiły na plan pierwszy w jej dążeniach gospodarczych. Prezydent z rozwojem ekonomicznym kraju wiązał potrzeby kultury narodowej, oświaty i nauki, dając wskazania „upowszechnienia kultury, dźwignięcia jej na wyższy poziom, udostępnienie jej wszystkim ludziom pracy", włączenia się nauki w twórczy decydujący wysiłek narodu.

Epokowe przemiany utrwalić ma nowa Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, ustalając prawa i obowiązki narodu, rozwijając twórczą aktywność mas. W pracy

Foto CAF

tej bierze czynny udział Budowniczy Polski Ludowej. Jednocześnie bacznie śledzi przygotowawcze prace organizującej się Polskiej Akademii Nauk, dla której pałac budują robotnicy i architekci zaprzyjaźnionego z Polską Związku Radzieckiego.

Praca Józefa Kowalczyka, której treść powyżej przedstawiłam, to zarówno historia epoki, w której żył i działał Bolesław Bierut, jak i historia jego życia i działalności, roli, jaką odegrał w naszej epoce. Autor książki rysuje portret Człowieka: dziecka, młodzieńca, męża stanu na najwyższym stanowisku w Państwie i w Partii. Książka w swej treści jest interesująca dla polityka, działacza społecznego, dla historyka, przedstawia piękny wzór Obywatela. Czytelnik - robotnik lub chłop dojrzy na torach życia Bolesława Bieruta chłopa - robotnika z pochodzenia—drogę pnącą się poprzez zapory wzwyż — stojącą przed nimi do zdobycia.

Pod piórem autora zarysowuje się nie tylko historia Bolesława Bieruta, ale występuje też Bolesław Bierut jako historyk. Urodzony historyk — był on badaczem rozwoju myśli polskiej, dojrzewającej na podstawie twórczego stosowania teorii materializmu historycznego oraz badaczem czynu polskiego, który dokonywał się w ramach dziejów walki o społeczne i narodowe wyzwolenie, na ostatnim jego etapie — związanego z doświadczeniem własnego życia i walk Prezydenta Bieruta.

Zgodnie z nauką Stalina o związku rewolucyjnej teorii z praktyką rewolucyjną Bolesław Bierut w badaniu i rekonstrukcji najnowszych dziejów Polski — ostatnich 70 lat — łączy analizę ruchu robotniczego z głęboko ujmowaną teorią marksistowsko-leninowską, która pozwoliła krytycznie ocenić przeszłość i stworzyć właściwą koncepcję prawidłowego dalszego rozwoju dziejów Polski w ustroju demokracji ludowej, w okresie budownictwa socjalistycznego.

Gorący patriota i głęboki internacjonalista ,wróg nacjonalizmu i kosmopolityzmu reprezentując Polskę w przełomowym okresie jej dziejów widział jej przyszłość w obozie postępu, u boku pierwszego państwa socjalistycznego — ZSRR i demokracji ludowych, w szerokim powiązaniu z międzynarodowym ruchem robotniczym.

Książka przedstawia dzieje Polski, dzieje pracy i walki polskiej klasy robotniczej w ostatnim okresie; na tym tle występuje postać jej Bohatera, Człowieka, którego cechowała „głęboka prawda płynąca z głębi serca i wielka miłość do ludzi" (słowa towarzysza robotnika).

Książkę powinni studiować współobywatele Gospodarza kraju — dla zrozumienia i oceny swojej postawy wobec Polski Ludowej i jej Prezydenta. Jej treść stać się powinna przedmiotem głębokich rozważań młodzieży polskiej, pragnącej poznać istotę najnowszych dziejów ojczystych, okresu, gdy pierwszym Budowniczym Kraju, jego Gospodarzem, Prezydentem Rzeczypospolitej został syn klasy robotniczej, która stała na czele w walkach o wolność narodu — Bolesław Bierut.

„Trzeba się uczyć z doświadczeń historii, gdyż jest ona najlepszą szkołą rewolucyjnej działalności społecznej". (Słowa Bieruta).

Natalia Gąsiorowska

[1]) J. Kowalczyk, Bolesław Bierut. „Książka i Wiedza" 1952

CZESŁAW CZERNIAWSKI

W 16-tą rocznicę strajku w Toruniu

GDY W SERCACH WZBIERAŁ GNIEW

Przejrzyjcie chociażby tytuły artykułów na pierwszych kolumnach gazet z owego roku.

„Włosi przygotowują nową ofensywę. — Natarcie ma iść w kierunku stolicy, Addis Abeby", „Niemcy przygotowują zamach na zdemilitaryzowaną strefę nadreńską", „Niemcy zawarli sojusz z Japonią", „Ponad 5 miliardów na zbrojenia — Anglia przeznacza 25% swego budżetu na armię, marynarkę i lotnictwo", „Wojska tureckie zajęły Dardanele"...

A w kraju: „Na Górnym Śląsku zanosi się na strajk", „W rolnictwie kryzys trwa nadal", „Już 7 dni w podziemiach kopalni. Rozpaczliwa walka 2000 górników o byt", „W Łodzi wybuchł strajk powszechny. — Wczoraj strajkowało 52000 robotników w 450 fabrykach", „Starcie policji z bezrobotnymi we Lwowie", „W Hiszpanii nie ma dnia bez rozruchów", „We Francji zwyciężają ugrupowania skrajne. — Komuniści podwoili liczbę głosów"...

Był to rok 1936...

*

Noc sylwestrowa r. 1936. W Toruniu, w willi wojewody Kirtiklisa, w siedzibie starosty grodzkiego Skórewicza i innych, do rana jarzą się wielkie okna.

Sanacyjna śmietanka, akcjonariusze Polsko - Belgijskiego Towarzystwa, do którego należała fabryka „Polchem", właściciele fabryki „Born i Schütze", „Gustav Weese" i inni przedstawiciele toruńskiego świata interesów wesoło i beztrosko bawią się w nocnych lokalach.

To jeden obraz Torunia, a teraz drugi:

„Wyjdźcie za miasto a zobaczycie nędzę ludzką w całej nagości i w całej okropności faktów — pisał niejaki Caj, w reportażu drukowanym w endeckim, „opozycyjnym" względem sanacji, „Słowie Pomorskim" w dniu 2 lutego 1936 r. (a więc miesiąc po nocy sylwestrowej) — W śródmieściu nędzy nie widać, swoi i przyjezdni podziwiają ratusz, oglądają ruiny zamczyska; zmęczonych i znużonych gospodarz Artusa raczy wyborową lampką starego wina. Tu i tym — wystarcza kamienna i historyczna piękność miasta.

Może właśnie dlatego fabryczna Łódź chowa swoje Bałuty i może dlatego... daleko na północnych krańcach Warszawy ojcowie miasta rozłożyli nędzę Annopola. Może właśnie dlatego...

W Toruniu nie inaczej. I Toruń dlatego na piaszczystych wydmuchach u krańca miasta, na „Dębowej" i „Kozackich" górach usiłuje zamknąć nędzę i rozpacz w kamiennych i wilgotnych okopach, w drewnianych, papą i blachą krytych barakach.

„Dębowa" i „Kozackie" góry — to wyspy nędzy i rozpaczy, schron dla wyrzuconych z pracy ludzi i wyrzuconych poza nawias społeczeństwa bezdomnych. To symptomat, przekleństwo naszych dni i jakże tragiczny dokument współczesnych stosunków".

„Na 1 izbę - norę, wymiaru 5x4 m przypada według naszych obliczeń 8 osób, jedna, albo więcej rodzin.

Jak śpią — pytacie? Zwyczajnie. Cztery osoby w łóżku, dwie na podłodze, jedna na stole — jeżeli na taki luksus w ogóle jest miejsce, częściej pod łóżkiem".

*

Toruń, uchodził za miasto zdecydowanie handlowe.

Trzy, cztery większe fabryki nie nadały miastu charakteru przemysłowego. A przecież była tu klasa robotnicza. Mówią o tym 4000 bezrobotnych w r. 1936. Drugie tyle jeszcze pracowało u Bornów, Schützów i Weese'ów. A ile tysięcy było rozproszonych po różnych obsługach przedsiębiorstw handlowych, sklepów, warsztatów.. Ile w dorywczych, przygodnych, podwórkowych i domowych wynajmach. Taki rozkład sił proletariatu nie sprzyjał oczywiście jego koncentracji. Był on rozproszony i podzielony. Kilka fabryk symbolizowało miejsca uprzywilejowane, miejsce stałej pracy. Wokół robotników fabrycznych kłębiło się morze niezorganizowanych poszukiwaczy pracy, których zatrudniał „patryarchalnie", kupiec, przedsiębiorca i „lepszy dom".

Mimo tak trudnego środowiska, istniała w Toruniu i działała organizacja KPP. Nieliczna wprawdzie, ale utrzymująca łączność z silną, bojową komórką KPP w niedalekim Włocławku. Potrafiła ona przez szereg lat prowadzić pracę polityczną wśród robotników toruńskich, z roku na rok podnosząc i wzmacniając ich świadomość klasową. Terenem najbardziej pilnym dla pracy agitacyjnej stały się rzesze bezrobotnych, którzy wszystkie prawdy o kapitalistycznym wyzysku poznali najlepiej, bo na przykładzie swego życia, w których z roku na rok wzbierała fala nienawiści, ale i ślepego na razie jeszcze gniewu i buntu. Towarzysze z KPP jak: Nowicki, Daniszewski, Siwek, Głazowski, Jarecki czynili wszystko, aby ten gniew stał się gniewem klasowo świadomym, uczyli że w walce o lepsze warunki bytu należy się organizować należy brać przykład z robotników i chłopów Związku Radzieckiego, którzy potrafili na zawsze uwolnić się od kapitalistycznego wyzysku. Toruńska organizacja KPP, szczególnie aktywną działalność rozwijała na terenie klasowych związków zawodowych, sekretarzem których był Julian Nowicki.

*

Prasa toruńska doniosła w sobotę dnia 16 maja 1936 r.: „Bezrobotni chcą pracy! — Dziś rano wybuchł strajk robotników zatrudnionych przy pracach doraźnych". — „Dziś o godz. 8.30 rano grupy bezrobotnych wraz z żonami zebrały się w okolicy restauracji „Eldorado" przy Szosie Chełmińskiej. Po krótkiej chwili kobiety rozeszły się do domów, bezrobotni natomiast udali się na miejsca prac doraźnych, przeprowadzanych obecnie przy pomocy Funduszu Pracy na „Kozackich Górach", na ul. Legionów itd.

Tam bezrobotni zdołali nakłonić zajętych przy pracy robotnikówd do porzucenia robót..."

Bezrobotni i robotnicy, którzy porzucili pracę udali się ponownie w kierunku „Eldorado", gdzie miało się odbyć zebranie. „Władza" czuwała. Na skrzyżowaniu ulic gen. Bema i Szosy Chełmińskiej pochód został zatrzymany przez oddział uzbrojonej policji, która śpiesznie przybyła tu samochodem ciężarowym. Z policją przybył też starosta grodzki, Skórewicz.

Robotnikom nie szło o wywoływanie awantur z policją, toteż rozeszli się, aby grupami dotrzec do „Eldorado", gdzie odbyło się zebranie. Ustalono tutaj żądania oraz wybrano delegację, celem odbycia pertraktacji z przedstawicielami władz. Przez cały czas, na ulicy w pobliżu lokalu czuwały uzbrojone oddziały policji, gotowe do akcji przeciw strajkującym. Ci jednak zachowywali spokojną, lecz zdecydowaną postawę, poprzez swoich delegatów prowadząc rozmowy ze starostą, który usiłował skłonić ich pogróżkami i obietnicami do zaniechania strajku.

— Chcemy mówić z wojewodą — Żądamy pracy dla wszystkich, żądamy, by nam płacono według taryfy.

Delegaci zostali przyjęci przez wicewojewodę Szczepańskiego, prezydenta miasta Bodta i dyrektora Wojewódzkiego Biura Funduszu Pracy Madejskiego, z którymi odbyli prawie 2-godzinną konferencję.

— Żądamy równomiernego podziału pracy między wszystkich bezrobotnych i płac podwyższonych do normy obowiązujących taryf. — Takie były postulaty robotników.

W wyniku konferencji bezrobotni nie uzyskali nic ponad czcze obietnice. Aby ich jednak uspokoić i ugłaskać ułudą zmiany sytuacji, wicewojewoda zgodził się na powołanie komisji złożonej z przedstawicieli województwa i Zarządu Miejskiego oraz robotników. Komisja ta miała za zadanie pilnować, aby postulaty bezrobotnych były uwzględniane przy rozdziale prac.

*

Bardzo szybko okazało się, że powołanie komisji było zwykłym, jeszcze jednym oszukańczym manewrem władz w stosunku do robotników. Pracę nadal otrzymywała tylko część bezrobotnych, płacę nadal odbiegały od normalnych taryf.

Nadszedł dzień 8 czerwca. Tego dnia znów odbywało się, jedno z kolejnych, zebranie bezrobotnych „doraźniaków". Dyskusja znów toczyła się wokół działalności komisji, wokół zapewnień władz. Większość bezrobotnych widziała jasno, że się ich oszukuje, że nie pomogą tu żadne układy, byli również ugodowcy, idący na lep PPS-owskiej agitacji. Towarzysze z KPP: Nowicki, Głazowski i inni zdecydowanie przeciwstawiali się tym nastrojom:

Na ulicy przed lokalem, w którym odbywało się zebranie, uformował się pochód, który Szosą Chełmińską ruszył ku Placowi Teatralnemu, w kierunku gmachu Urzędu Wojewódzkiego.

Na placu drogę manifestantom zagrodziły zwarte szeregi policji, groźnie najeżone lufami karabinów. Wojewoda Kirtiklis, nie chciał słyszeć wołania o pracę, o chleb; wojewoda Kirtiklis rozkazał rozpędzić tłum bezrobotnych nawet przy użyciu broni. Zrozumiał bowiem, że tym razem nie pomogą obietnice, gniew ludu wezbrał ponad wszelkie granice, zrozumiał, że szykuje się już manifestacja rewolucyjnej siły klasy robotniczej Torunia. Wojewoda postanowił odpowiedzieć siłą, sterroryzować bezrobotnych, zgasić iskrę rewolucji.

— Rozejść się — padł rozkaz.

Tłum zawahał się, lecz porwany przykładem Nowickiego, Głazowskiego, Daniszewskiego i innych towarzyszy parł dalej.

— Chcemy pracy! — posypały się okrzyki. — Chcemy chleba! Gdzie jest obiecana praca?! Precz z sanacją!

Na komendę oficerów, w górę uniosły się lufy karabinów. Huk salwy, oddanej ponad głowami napierających na oddziały policji demonstrantów zwielokrotnionym echem odbił się wśród sędziwych murów starego miasta.

Ale bezrobotnych nic już nie mogło powstrzymać. Z nienawiścią natarli na szeregi granatowych mundurów. Posypały się kamienie i cegły.

Ciepłym, czerwcowym powietrzem targnął huk nowej salwy. Tym razem w tłum. Na bruk Placu Teatralnego osunęli się ranni. Między innymi padł także Julian Nowicki. Nad placem, ku zamkniętym oknom gmachu województwa podniósł się krzyk bitych kolbami.

Rannych zostało 13 bezrobotnych. Ciężko ranny Julian Nowicki zmarł. Kilku policjantów również odniosło rany w czasie rozpraszania pochodu.

*

Nie wszyscy dziś żyją towarzysze Juliana Nowickiego, ci, którzy kierowali walką klasy robotniczej Torunia w 1936 roku.

Ale żyją i pracują towarzysze: Głazowski, Daniszewski, Magdziński, Dzięgielewski — starzy członkowie KPP. Żyją i pracują inni uczestnicy demonstracji. Oto np. Józefa Graczykowa, przodownica pracy Zakładów Graficznych w Toruniu, oto Józef Aponowicz, były robotnik, sekretarz podstawowej organizacji partyjnej — dziś dyrektor Toruńskiej Rektyfikacji, oto Zygmunt Paradowski, sekretarz Komitetu Fabrycznego PZPR w fabryce, stanowiącej ongiś własność Polsko - Belgijskiego Towarzystwa, Józef Jasny do niedawna sekretarz Komitetu Fabrycznego PZPR w PZWANN — czołowym obiekcie Planu 6-letniego na Pomorzu i wielu innych.

Czesław Czerniawski

FRANCISZEK FENIKOWSKI

Przed Zlotem Młodych Przodowników(II)*)

STOCZNIOWCY Z „MŁODEJ GWARDII"

BYŁO to wiosną 1949 roku. Nad stocznią gdańską — plątowiskiem kolejowych torów, budynków z czerwonej cegły, zakopconych hal, tętniących pracą doków, nabrzeży, basenów i pochylni jarzyło się słońce majowe, ostre jak laboratoryjna lampa. Szedłem szybko między ścianami traserni i kadłubowni. Przeciągle gwizdała lokomotywa; ciągnęła, zasapana jak astmatyczka, ogromny dźwig po lśniących szynach. Przy nabrzeżu wyposażeniowym czerwieniły się sylwetki „Sołdka" i „Jedności Robotniczej" — pierwszych zbudowanych przez nas rudowęglowców. Ludzie w zasmolonych kombinezonach snuli się skrzętnie jak mrówki po wielkim mrowisku. Wreszcie za węgłem ostatniej hali wynurzyły się dwie pochylnie.

Na jednej z nich czerwienił się wczoraj gotowy już kadłub rudowęglowca, odświętnie przystrojony flagami kodu. Tłum czerniał na nabrzeżu. Rozlegała się muzyka i słowa przemówień. Helena Motlęga, stara robotnica warszawska, a dziś matka chrzestna tego statku, mówiła powoli i wyraźnie:

— Ja ciebie chrzcę dla uczczenia święta klasy robotniczej imieniem „1 Maja"...

Butelka szampana rozprysła się na burcie i rudowęglowiec, wyzwolony z kloców hamulcowych, spłynął na wodę basenu przy dźwiękach hymnu narodowego i ryku wszystkich stoczniowych syren.

Teraz pochylnia ta była pusta. Za to obok, wśród sieci drewnianych rusztowań, rósł z rdzawych blach kadług następnego z kolei statku. Przed nim stała tablica, na której barwiły się dwie linie: czerwona i niebieska. Były to krzywe przyrostu ciężaru na pochylni: planowana i rzeczywista. Wspinały się po drabinkach miesięcy równomiernie. Nieraz jednak rzeczywista wyprzedzała planowaną. Tu właśnie, pod tą tablicą, spotkałem Frąszczaka. Wysoki chłopak w poplamionym kombinezonie rozwijał z papieru chleb, jadł śniadanie...

— Robię tu od niedawna — powiedział, usiłując przekrzyczeć stukot i terkot niterskich młotków. — O robocie to najlepiej i najdokładniej powie majster Patok. Ja...

Mój nowy znajomy, Marian Frąszczak, urodził się w Poznaniu, na Dębcu — przedmieściu, leżącym między dębiną, porastającą niski brzeg Warty, a dymiący kominami „Cegielskiego". Kiedyś, jeszcze w czasach przedrozbiorowych, osiedlono tam ludzi spod Bamberga. Zagrody „bambrów", jak poznaniacy nazywają chłopów, stoją i dziś. Ale obok nich wyrosły domy i domki, w których zamieszkali robotnicy pracujący w pobliskiej, największej fabryce Poznania. „U Ceglorza" zaczął też swą karierę życiową kilkunastoletni Marych. Drugim dopiero jej etapem była stocznia. Frąszczak znalazł się tu w dwa lata po wojnie razem z ojcem, który porzucił pracę w poznańskich wodociągach dla ciekawszej i lepiej płatnej roboty przy budowie statków. Ojciec pracował przy izolacji rur, syn chodził na kurs montażu okrętowego. Kiedy zaczął montować, czuł się trochę nieswojo wśród żeber, wręgów i grodzi. Teraz już to uczucie minęło. Ale jeśli chodzi o dokładne informacje, to jednak majster Patok lepiej poinformuje...

Cóż było robić? Zacząłem szukać Patoka. Znalazłem go w drewnianym baraczku przy drugiej pochylni. Stary majster, człowiek o grubo ciosanych rysach, przeglądał jakieś zapiski. Postacią swą, zbudowaną krzepko jak gdański mur, wypełniał całe niemal wnętrze budki.

— Dzień dobry! — powiedziałem.

Powoli podniósł na mnie oczy znad papierków — i wyciągnął rękę. Paweł Patok to gdańszczanin z dziada pradziada.

✻

15 kwietnia 1945 r. wojsko radzieckie zdało Polakom rozminowaną kadłubownię. Robotnik polski wrócił na dymiące rumowisko, które jeszcze do niedawna było wojenną kuźnicą „Schichauwerke", aby pobudować tu kuźnię pokoju.

— Zabraliśmy się do roboty — wspomina Patok — choć ludzie nie wierzyli, że będzie co z tego, bo strasznie tutaj wyglądało. Gruzy, zgliszcza, góry połamanego żelastwa, rdzewiejące po basenach wraki. Brakło też fachowców. Ot i dzisiaj na czterdziestu paru pracujących u mnie ludzi jest bodaj trzech takich, co pracowali na stoczni przed wojną. Na ogół pozjeżdżali się z całej Polski, ze wsi, z fabryk... O budowie statków żaden nie miał pojęcia. A statki, jak kobiety, mają swoje humory. Nieraz utrudniają robotę jak tylko mogą. Zwłaszcza jak „wyczują" rękę nowicjusza.

— Ale mimo to stocznia ruszyła! — wtrącam.

— Ruszyła i to szybko! — potwierdza z dumą majster — Już 30 marca 1946 roku ukończyliśmy dziewięćdziesięcioprocentowy remont „Krakowa". Potem wzięliśmy się za „Olsztyn", „Deltrę" i „Wartę". Mimo wszystkich trudności robota odchodziła terminowo... Wreszcie położyliśmy stępki pod rudowęglowce... O, popatrzcie — wskazał okno baraku, za którym rudział w sieci rusztowań kadłub nowego statku — rosną jak cholera... Aż trudno uwierzyć, że budują je takie knopy, jak choćby ten Frąszczak, co was do mnie przyprowadził...

✻

Minęły trzy lata. Jest marzec 1952 roku. I oto znowu jestem w krajobrazie stoczniowym dość niezwykłym dla oczu człowieka z lądu. Kadłuby budowanych statków, chropawe, szarobrunatne, przypominają nieco ławicę wielorybów, wyrzuconych na posępny brzeg falami sztormu, a nieco cmentarzysko jakichś przepotowych zwierząt. W dali pod wyniosłym stalowym żurawiem piętrzy się potężny i gotów prawie do wodowania „lewant", na wodzie basenu kołysze się inny, spuszczony już kadłub, na pochylni jak żebra ogromnego szkieletu czernią się wręgi nowobudowanego statku, tuż przy nich zaś wznoszą się w gęstwinie rusztowań dwa rybackie trawlery.

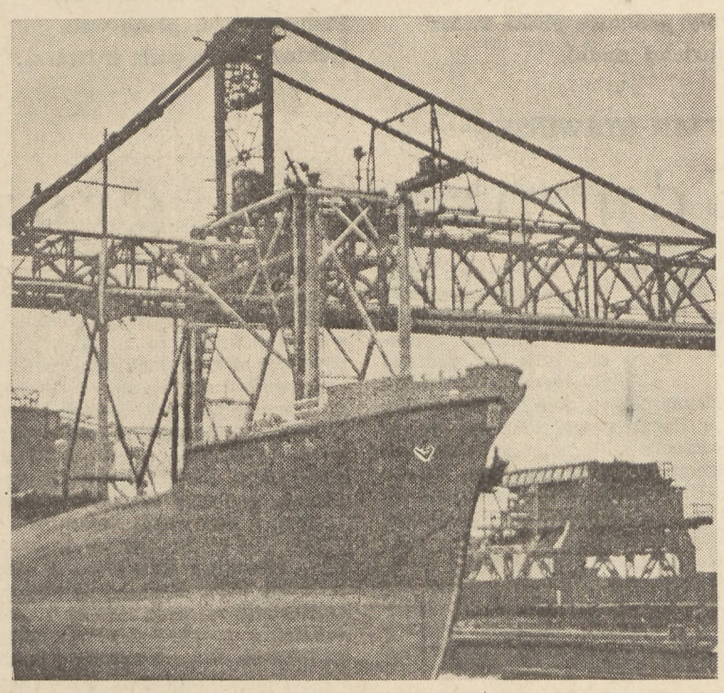

Przy lewej burcie, stoją prowizoryczne drewniane schodki. Dwie zawieszone na ich poręczy tablice głoszą, że pracują tu brygady młodzieżowe: monterska „Im. Młodej Gwardii" i spawaczy „Im. Juliana Marchlewskiego". Wspinam się na górę. Na najwyższym stopniu spotykam Jerzego Kościńskiego, absolwenta „Conradinum" i opiekuna brygady.

— Na stałe pracuję tu dopiero od czerwca — mówi po przywitaniu. — Miałem szczęście, trafiłem właśnie na moment przełomowy. Powstanie brygady „Młodej Gwardii" przekonało wszystkich, że młodzi potrafią budować statki niegorzej od starych...

— A co? — wtrąca się nagle jakiś piegowaty chłopak w wielkich skórzanych rękawicach spawacza. — Nawet „brygada starców" musi to dziś przyznać.

Wścibski spawacz to Heniek Warzyński z Otwocka (wykonuje przeciętnie 207 proc. normy). Od niego to dowiaduję się, że „brygadą staruszków" nazywają młodzieżowcy budowniczych sąsiedniego trawlera.

Tymczasem poznaję coraz to nowych chłopców, budujących tę jednostkę, oznaczoną w aktach numerem „200 004". Po mokrych blachach pokładu uwijają się chłopcy w roboczych kurtkach. Niektórzy mają na głowach pogniecione cyklistówki, inni czapki narciarskie, inni jeszcze furażerki z orzełkiem „SP". Brygada „Młodej Gwardii' składa się bowiem poza brygadzistą z sześciu monterów i dwudziestu junaków. Niejeden z nich, kiedy przyjechał tu z Kieleckiego jak Franek Gawrych, spod Włodawy, jak Włodek Cybulski czy z wielkopolskiego Wolsztyna, jak Heniek Figiel, czuł się z początku „dosyć głupio". Ale w domu nie mieli co robić, a morze ciągnęło ich, zwłaszcza, że każdy prawie miał jakiegoś krewniaka czy znajomego, który pracował na Wybrzeżu i przyjeżdżając na urlop opowiadał rzeczy, porywające wyobraźnię młodych słuchaczy... Dlatego zgłaszali się ochotniczo na wyjazd do Gdańska.

— Pewnie, bo i co mieli w domu robić? — potakuje młody monter Łaskarzewski, syn chłopa spod Pułtuska, poprawiając swój zawadiacki beret. — Ze mną było tak samo! Kuzyn mnie namówił. Pracował tutaj od trzech lat. Tak opowiadał o swojej robocie, że spakowałem manatki i przyjechałem...

— Mnie zachęcił mój brat — wtrąca inny chłopak. — Skończył szkołę rybacką i pływa teraz na „Uranii", rybackim trawlerze, takim jak ten, co tu budujemy...

— Przyjdźcie 24 marca — proponuje junak Żdzich z Lubelszczyzny — wtedy będzie zapięty już „na ostatni guzik".

— A jaki jest dziś stan robót?

— Zakładamy już nadburcie — odpowiada nowy robotnik, który wyszedł właśnie z nadbudówki.

To brygadzista „Młodej Gwardii". Nosi, jak wszyscy tu niemal, ciepłą watówkę. Na głowie ma sfatygowaną narciarkę. Pod czarnym daszkiem czapki widzę spokojne oczy, pociągłą twarz, niedokładnie ogolony podbródek i trudno mi uwierzyć. Przecież to Frąszczak, chłopak, którego trzy lata temu spotkałem pod kadłubem „Pstrowskiego", w ten sam dzień, kiedy majster Patok opowiadał mi...

Posłuchajmy historii awansu chłopaka „od Ceglorza".

✻

Zachęcał i pomagał mu na każdym kroku Karol Hajduga, dwudziestoparoletni, rzutki inżynier, który tak jak Frąszczak „wyrósł ze stoczni", a ZMP oddał całą swą energię i serce. Ojciec Hajdugi wyemigrował po 1921 roku. Bieda zapędziła go aż do Argentyny. Pracował tam trochę na stoczniach w Buenos Aires, częściej jednak był bezrobotny. Karol, tak jak jego ojciec, w lepszych czasach znajdował zarobek to na stoczni, to w porcie. Po wojnie z gazet dowiedział się, że nowa Polska nie przypomina już tego kraju, z którego musieli wyemigrować jego rodzice. O wielkich zmianach w ojczyźnie słyszał też nieraz od marynarzy z polskich statków, zawijających do Buenos Aires.

Młody Hajduga nie wahał się długo. Jako „pasażer na gapę" wrócił do Polski i został robotnikiem w gdańskiej stoczni. Wkrótce poznano, że jest zdolny i umożliwiono mu studia na Politechnice. Karol ściągnął do kraju ojca, ukończył Wydział Budowy Okrętów, wrócił na pochylnię i zabrał się do roboty. On to na kilku zetempowskich zebraniach razem z Frąszczakiem i inż. Waleronem omówił sprawę brygady. Uzyskano zgodę zwierzchnictwa, zwerbowano kilkudziesięciu młodzieżowców ze stoczni i z „Służby Polsce" — 19 grudnia 1950 r. nowopowstała brygada otrzymała nazwę „Młodej Gwardii".

Nazwa już była, był brygadzista, jednak przyszli członkowie brygady, zanim zabrali się do budowy „jednostki 200 004", musieli wykończyć prace rozpoczęte na innych statkach. Toteż przez pięć długich, zadeszczonych, grudniowych dni Frąszczak sam krzątał się do pochylni. Przechodzący tędy starzy majstrowie podśmiechiwali się pod nosem, widząc sylwetkę młodego montera, która przy długiej stępce wydawała się maleńka jak plama żuka na szosie.

Ale powoli na pochylni zaroiło się. Szóstego dnia przyszedł Kazik Łaskarzewski, wesoły chłopak spod Pułtuska, w watówce popstrzonej jaskrawymi plamami minii. Potem zjawili się inni. Doszli Piekarski i Wiesiek Czapiewski, który trafił do stoczni dwa lata temu dzięki zetempowskiemu kursowi pod nazwą „Młodzież buduje okręty". Nie wszyscy od razu zapalili się do nowej roboty. Choćby taki Józek Augustyniewicz, siedemnastoletni, chudy i nieśmiały, syn robotnika z chełmżyńskiej cukrowni...

— Na pewno będzie z tego klapa! Nie wyjdę przy was na swoje. Mniej zarobię! — wzbraniał się nieufnie, kiedy koledzy namawiali go do przejścia na jednostkę nr 200.004.

Zgodził się dopiero po długich namowach. Dziś niechętnie się do tego przyznaje. „Niewierny Tomasz" z Brygady „Młodej Gwardii" zarabia bowiem teraz ponad 1000 zł, no, a poza tym dzięki nowej robocie awansował z pomocnika na samodzielnego montera. Do brygady przekonał go jednak nie tylko awans i zarobek. „Zaraził się" entuzjazmem kolegów. Bo zapał brygadzisty i młodego inżyniera rozjarzył się tu, jak błękitny płomyk acetylenu i rozsypał się iskrami dokoła, zajmując wszystkie serca. Junacy z „SP", chłopcy, którzy zjechawszy z odległych wsi Kieleckiego, Lubelszczyzny, Podlasia, w Gdańsku zobaczyli po raz pierwszy nie tylko okręty, ale i nieznane niektórym dotąd tramwaje, polubili niezwykłą robotę, przejęli się nią, a powątpiewanie i żarty starych stoczniowców podsyciły jeszcze ich ambicje.

— Patrzcie, patrzcie! Oni chcą sami pobudować statek? — trzęśli się ze śmiechu „staruszkowie".

— Frąszczak to może i dałby sobie radę. Spod mojej rękł wyszedł! Dostał dobrą szkołę na „Sołdku" i „Pstrowskim" — mruczał majster Patok ilekroć z podległego mu „Terenu B." zaszedł na pochylnię. — Ale inni? Zginiecie, jak przyjdą dna podwójne! Tymczasem w rekordowym tempie zmontowano i dna podwójne i fundamenty: kotłowy i maszynowy. Wyrosły żebra wręgów, grodzie i bunkrowe przegrody. Kształt trawlera rysował się na pochylni coraz wyraźniej. Wtedy żartownisie zmienili zdanie:

— Dna to jeszcze nic! Zobaczymy, czy sobie poradzicie z pokładem?

Wiedzieli już jak będzie. Chłopakom zbrzydnie pośpiech, zaczną się „drykować", chować po kadłubie i... klapa murowana.

Kiedy zaś i ta trudność została pokonana, gdy położono pokład, „staruszkowie" zaczęli z innej beczki:

— Najtrudniejsze to nadbudówki! Na nich połamiecie sobie zęby jak amen pacierzu...

Majster Patok nic już nie mówił, tylko jego krzepka postać nieraz czerniała na brzegu pochylni. Pochylał się lekko naprzód, w stronę trawlerowego kadłuba, wielkie ręce wpychał w kieszenie kurtki i bez słowa patrzał na uwijających się po rusztowaniach i pokładzie chłopaków. Szybko zrozumiał, że i nadbudówki nie połamią młodym zębów. Patrzał, jak fachowo, przy pomocy pionu i poziomicy, ustawiali płyty, wznosili nadbudówkę, jak zmontowali tylnicę i przystąpili do montażu dziobnicy...

Widzieli to inni.

— W tym musi tkwić jakiś sekret — przypuszczali.

A sekretem był po prostu zapał, wytrwałość i organizacja kolektywnej pracy. Codzień przed rozpoczęciem roboty chłopcy urządzali czy to pod dnem, czy potem na pokładzie, naradę produkcyjną. Omawiali osiągnięcia, dzielili doświadczeniami, zastanawiali się nad usunięciem przeszkód.

Nie czekano już teraz z założonymi rękoma, aż skrzypiący po szynach żuraw nr 1 zakończy obsługiwanie sąsiadów — „staruszków". Również Hajduga pomagał młodzieżowcom jak tylko mógł. Nieraz w roboczym kombinezonie sam stawał do montażu, pokazywał junakom, jak sobie radzić z metalowymi płytami... Tempo budowy rosło z każdym dniem. Chłopcy „wychodzili ze skóry", żeby tylko nie dać się starym. W deszczowe rana, kiedy od kanału ciągnie lepka mgła, w styczniowe, kłujące mrozem dni, a nieraz nawet w wichrzyste i śnieżyste noce dudniły ich młotki, jarzyły się acetylenowe ognie... Kiedy nie wychodziły plany dzienne, zostawali w kilku po „fajerancie" na pochylni i nocą „machali" robotę, byle rano można było zacząć pracę zgodnie z harmonogramem „na bieżąco!" Na każdą, choćby najmniejszą część roboty, ogłaszano współzawodnictwo. Podejmowano zobowiązania. Nikt prawie nie wyrabiał mniej niż 200 procent normy.

Monter Frączyk osiągnął w styczniu aż 270 procent. Łaskarzewski montował 76 sekcję pokładu dziobowego w 35 godzin, zamiast jak to przewidywano w 91, a spawacz Staszek Sokołowski przy spawaniu znajdującego się na trawlerze zbiornika oliwnego tranu zaoszczędził 15 godzin. Bo trzeba wspomnieć, że w ślad za monterami z „Młodej Gwardii" poszli spawacze z brygady Myśliwca, wielokrotnego przodownika, którego fotografia wisi w stoczniowej radzie zakładowej. Za patrona swej brygady obrali Juliana Marchlewskiego. Piegowaty Heniek Warzyński z Otwocka, spawacz kadłubowy, dumny jest z krótkich, lecz notujących niejeden sukces dziejów brygady, do której należy.

— Szliśmy krok w krok za „Młodą Gwardią" — mówi okręcając szyję kraciastym szalikiem — tak w robocie, jak w pracy organizacyjnej.

„Brygada Starców" spuściła z tonu. Majster Patok zaś dawno już przestał się podśmiechiwać pod nosem. Nie zaprzestał jednak odwiedzin na trawlerze. Przychodził dalej, stawał pod wielkim żelaznym żurawiem nr. 1., przyglądał się robocie.

Aż nagle gruchnęła wiadomość tak niespodziewana, że zrazu nikomu w nią wierzyć się nie chciało: — Majster Patok organizuje na swoim terenie „B" nową brygadę młodzieżową.

Franciszek Fenikowski

*) Patrz numer poprzedni: Edward Szuster: „Na tropach sprawy Balcerka".

STANISŁAW PIĘTAK

DAWNE LATA

Był już mrok. Usiedliśmy przed domem.
Przyjaciel mój, który przybył właśnie,
odsłaniał myśl o wierszu stworzonym,
od spojrzeń dzieci stało się jaśniej...

✻

— Pytacie o życie mej poezji —
szepnął i patrzył w przestrzeń surowo.
Wierzę, nie z pieśni i nie z finezji,
z cierpienia mego wyrosło słowo.
A przecież i ja miałem babunię,
która tworzyła dla mnie historie.
Mróz, iwie śnieżyca w białym tabunie.
Naprzeciw zdań wybiegam jak orlę.
Zamki zbrodnicze, a w nich przepaści.
Nie dobrzy ludzie, dobre zwierzęta.
Ptak, co przez morza chłopca niósł w garści,
ja wszystkim żyję i w śnie pamiętam...
Powieść się jednak rychło skończyła.
Nie pożegnałem nawet piastunki.
Z pola wracaliśmy, jeszcze żyła,
dotykały jej włosów jaskółki.
A potem nagle, gdyśmy usiedli —
i ja usnąłem w wieczorną chwilę,
ludzie po szosie babcię powiedli
za ręce jej, ręce już nieżywe.
Oczy w tę noc podnosiłem w męce,
ale twarz babci była też niema —
i tylko łza, ciężka łza — nic więcej...
Trzy dni — i już pokryła ją ziemia.

✻

Nie przeżywałem jak sen dzieciństwa.
Zjawiska śledziłem, ludzi, siebie
od wczesnych lat. Moja droga przyszła
marzyła o życiu, nie o niebie.
Trudne, smutne dni, bolesne noce,
a ile z nich wspomnienia zostało.
Kuląc się pod krzakami, dygocę.
Jak drzwi otwarte w głodzie me ciało.

A potem nogi opuchłe, nogi
poranione. Kuleję, za bydłem
nie mogę biec, upadam gdzie stogi.
Gorączka już bije śniegu skrzydłem.
I jawią się naraz czyste wody.
Zabawy z przyjaciółmi na łące.
I płaczę, płaczę. Macam wrzody
i łykam jakby chleb łzy gorące.

Gospodarz nie przeniósł mię do izby.
W żłobie leżałem zimny, obdarty.
Raz budzę się, a krowy znów przyszły,
sprawdzają oddechem, czym nie martwy...
Ledwiem się podniósł, uciekłem do matki.
Noc, — mroźna noc, ubranie jak drzewo
już szeleści. Biegłem przez lód gładki,
a gdy dom, padłem piersią nieżywą...

✻

Zapewne, były chwile radości.
Choćby wieczory ciepłe, sierpniowe.
Błękitnym światłem tchną odległości.
Wiatr w śnie odchyla kochaną głowę...
Tych zdarzeń było jednakże mało.
Szósty już miesiąc leżałem chory.
Puchło w kolanach i w kostkach ciało.
Skóra, skóra jak z stoczonej kory.
Swiadomość przytym, myśl jak u starca.
Po nocach męczę się z nienawiści —
i różnych ludzi winą obarczam,
że mi z pomocą nigdy nie przyszli...

✻

Dzień teraz przypomnę, dzień lipcowy
Omal nie przyszło mi umrzeć wtedy.
Matka już tydzień kopała rowy
u bogatego chłopa, Bachledy...
Południe przeszło, zachód się zbliża,
a jej jak nie ma, tak ciągle nie ma.
Cień przygniótł izbę już na kształt krzyża
Z głodu zachwiała się w oczach ziemia.
I myśl wtem, myśl, by okruszyn chleba
poszukać na ławie, zejść samemu.
Ledwiem stąpnął, zakrążyły nieba,
noc, noc, ciemność w rozwartym spojrzeniu...

Czy chwile, czy godziny leżałem —
już nie wiem — byłem jak listek słaby
lecz znowu pełzłem po ziemi ciałem
i drżąc przypadłem do ciemnej ławy.
O nocy, nocy cicha, okrutna!
Promień księżyca przy mnie szedł mały.
Na liściach śliw żyły w świetle włókna.
Szumy izbę jak sad kołysały.
A naraz krzyk serdeczny i pieśń, pieśni!...
Na wsi chłopcy ścigają się w mroku,
lecz ja nie mogę ku oknu się wznieść,
gdzie tyle woni, ros dla oddechu...
Ja jestem chory, będę kaleką.
Nie dla mnie praca, życie nie dla mnie,
Niech lepiej do grobu mię powleką.
Nie będzie bólu, świat się zapadnie.

Zerwałem się, gdyż pragnąłem śmierci.
O myśli moje, jak łzy strzaskane.
Krew sączyła się jak szum spod piersi.
Ręka tuliła księżyca pianę.
Tak już zasnąłem żałością zbity.
A sen nie czuły był dziś i martwy.
Leżałem, cieniem śliwy okryty.
To z płaczu matki mych słów są warstwy...

✻

Milczeliśmy, myślą przytłoczeni.
Poeta wtem podniósł się i oto
stał, patrzył po uśpionej już ziemi.
Błyskało gwiazdą wiosenne błoto.
— Ta powieść — rzekł — dla dzieci jedynie.
Chciałem ukazać im w słowie jasno,
w jak innej żyją oni krainie —
dziś marzenia ludzkie już nie gasną.

Stanisław Piętak

ALBERT ROLLAND

DRUGA REZERWA BURŻUAZJI ANGIELSKIEJ

PODCZAS wojny był jednym z tych, którzy od 1942 roku domagali się natychmiastowego otwarcia Drugiego Frontu. Mogło się wtedy zdawać, że Związek Radziecki nie ma w Wielkiej Brytanii wierniejszego przyjaciela. Później był autorem głośnego, niezrealizowanego zresztą, programu masowego budownictwa mieszkaniowego, co jest zagadnieniem szczególnie palącym na wyspach brytyjskich gdzie miliony ludzi pracy mieszkają wciąż jeszcze w średniowiecznych ruderach, a podczas wojny utraciły w wyniku bombardowań wiele takich ruder. Pod sam koniec kadencji rządu labourzystowskiego zrezygnował z hałasem z teki ministra i stanął na czele grupy opozycyjnej. Ostrze jego krytyki było skierowane przeciwko polityce zagranicznej rządu Attlee.

Rys. Kukryniksy. 1947.

Nadeszły wybory 1951 roku. Wówczas „pogodził" się z oficjalnym kierownictwem Labour Party, w celu „zagrodzenia drogi konserwatystom". Nie zapobiegło to objęciu władzy przez Churchilla. Partia Pracy rozpoczęła wówczas kampanię przeciwko jego polityce zbrojeń.

W odpowiedzi Churchill ogłosił dokumenty rządu Attlee z których wynika, że labourzyści dorównywali staremu wydze reakcji gorliwością w realizacji amerykańskich planów wojennych. Między innymi wynikało z tych dokumentów, że rząd Partii Pracy wyraził gotowość poparcia amerykańskiej agresji przeciwko Chinom Ludowym. Fala oburzenia wywołana tymi rewelacjami posłużyła naszemu opozycjoniście dla nowej „rewolty" przeciwko oficjalnej polityce Partii. Obecnie stoi na czele dyssydenckiej grupy, atakującej „z lewa" kierownictwo Attlee — Morrisson'a. Przedmiotem ataków jest jak zwykle polityka zagraniczna. „Buntownik" występuje (w słowach przynajmniej) przeciwko polityce przygotowań wojennych i reklamuje siebie jako najwierniejszego obrońcę sprawy pokoju.

O kimże to piszemy? O Aneurin Bevanie. Pokazaliśmy jedną stronę poczynań tego polityka, wpływowego członka Labour Party. Z tej strony oglądany wydaje się zajmować lewe skrzydło w Partii, wydaje się skłonny do „rewolty", wydaje się być sumieniem socjaldzrajców, czerpiącym prawdę ze wzburzonych mas partyjnych. Ale... wejrzyjmy w drugą stronę aktywności Bevan'a.

W niedawno wydanej książce „In place of fear" („Zamiast strachu") Bevan „potępia" walkę klas, zajmuje wrogie stanowisko wobec ZSRR i gloryfikuje Tito. A w swej rozległej i ożywionej działalności nie opowiada się ani słowem za Ruchem Pokoju.

Ta cała niekonsekwencja ma jednak swoją wyraźną logikę. Attlee i Morrisson kapitulują wraz z Churchillem przed monopolami USA, Bevan ustawia się na te grupy kapitałowe w Anglii, które szukają dróg samodzielności, którym amerykańska polityka zbrojeniowa odcina rynki zbytu i źródła surowca. W służbie tych grup Bevan spodziewa się zjednoczyć drobnomieszczaństwo i zachować władzę nad dołami Labour Party, wyzyskując w tym celu nastroje antyamerykańskie, spadek płac realnych, zubożenie społeczeństwa i groźbę wojny. Wszystko to są następstwa całkowitej utraty samodzielności polityki brytyjskiej, pełnego uzależnienia W. Brytanii od USA. Dokonali tego w okresie powojennym Attlee i Morrisson, na nich więc spada odium, zagrażając rozłamem, odpadnięciem dołów labourzystowskich, a tym samym wymknięciem się ich spod wpływów burżuazji. Tego burżuazja obawia się najbardziej i coraz większe jej odłamy popierać zaczynają obecnie Bevan'a w akcji ratowania narzędzia ich władzy nad klasą robotniczą, jakie stanowi dzisiejsza Labour Party.

✻

Wielka Brytania jest jak wiadomo głównym satelitą Stanów, ich „młodszym partnerem". Bez Wielkiej Brytanii wykonanie agresywnych planów amerykańskich organizatorów wojny jest praktycznie niemożliwe. Od tego czy Wielka Brytania okaże się pewnym oparciem dla wojennej polityki Waszyngtonu, czy też nie, zależy bardzo wiele. W związku z powyższym warto zapoznać się choćby pokrótce z cyklem artykułów Bevan'a, ogłoszonych niedawno we francuskiej burżuazyjnej gazecie „Le Monde".

Bevan rozpoczyna od zdecydowanego ataku na politykę USA. Z ubolewaniem wskazuje na jej tępotę, podkreśla, że nie może być ona „atrakcją dla Europejczyków", mających ostatecznie inne tradycje polityczne niż wybory organizowane przy pomocy gangsterów lub w stylu „tyle głosów ile dolarów". „Dominująca pozycja Stanów Zjednoczonych w świecie byłaby łatwiejsza do strawienia, gdyby wiedziały jaki z niej zrobić użytek. Ale nic na to nie wskazuje, prócz tego oczywiście, że USA są wrogami komunizmu" — pisze Bevan.

Za tym oświadczeniem kryją się dwie rzeczy. Pierwsze to ubolewanie Bevana, że koła rządzące Stanów nie potrafią ubrać swej brutalnej ekspansji imperialistycznej w jakąś strawną szatę ideologiczną. Drugie to stwierdzenie, że antykomunizm nie jest atrakcją w Europie, gdzie istnieją potężne partie komunistyczne, gdzie masy ludowe miały okazję poznać bohaterstwo komunistów w walce z hitleryzmem i dlatego darzą ich szacunkiem i sympatią. **Antykomunizm przestał być artykułem pokupnym w Europie powojennej.**

Bevan usiłuje zrzucić na Churchilla odpowiedzialność za całkowite podporządkowanie Wielkiej Brytanii Stanom. Potocznie nazywa się to „próbą przerzucenia zdechłego psa na czyjeś podwórko". Tym „zdechłym psem" w dzisiejszej Wielkiej Brytanii jest widocznie i polityka amerykańskich podżegaczy wojennych. Przerażeni rozmachem ruchu pokoju imperialiści usiłują lansować tezę, że zbroją się rzekomo w celach obronnych ze strachu przed „agresją Sowietów". Czy propaganda ta nie zdezorientowała niektórych prostych ludzi w Anglii? Czy nie wpadli w jej sidła?

Odpowiedź na to pytanie daje Bevan. Ironizując na temat „polityki mocy", głoszonej przez Achesona stwierdza, że tą polityką nie uda się zastraszyć Związku Radzieckiego i że „rzuca się w oczy, że jest on (Związek Radziecki — AR) mniej wojowniczy od pewnych dziennikarzy amerykańskich". Za plecami owych „dziennikarzy" widać wyraźnie monopole USA oraz znajdujący się na ich usługach

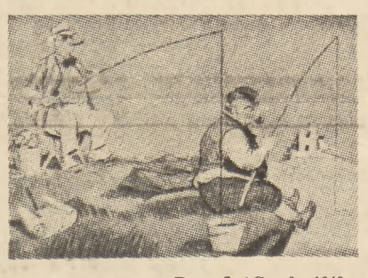

Rys. I. Ganf. 1949.

rząd Stanów Zjednoczonych. A to samo zaplecze zarysowuje się, gdy Bevan, szukając sprawców polityki zbrojeń wskazuje amerykańskich ekspertów wojskowych, którzy „nie potrafią przewidzieć konsekwencji ekonomicznych swoich żądań (chodzi o wydatki zbrojeniowe — AR). Jest rzeczą niebezpieczną dla każdego rządu przyznać dowódcom wojskowym prawo prowadzenia propagandy politycznej". Jest to z jednej strony nieudolna próba Bevan'a zamącenia obrazu Stanów Zjednoczonych kosztem „złych, niezdyscyplinowanych i słabych w ekonomii" wojskowych. Z drugiej zaś— jaskrawe świadectwo, jak niepopularna staje się polityka zbrojeń, narzucona przez USA brytyjskiemu satelicie.

Zresztą sam Bevan przyznaje, że agresywna polityka imperializmu amerykańskiego ma głębsze przyczyny i wynika z samej jego istoty. „W takiej atmosferze nic dziwnego, że nacisk kół gospodarczych i finansowych wzmaga napięcie sytuacji międzynarodowej, bowiem tyle kapitałów jest związanych z machiną wojenną, że strach przed powszechną deflacją (w ten sposób Bevan z prawdziwie angielską „subtelnością" nazywa kryzys — AR), bankructwami i bezrobociem, wciągnie nas albo do działań wojennych albo produkcji zbrojeń na taką skalę, że pociągnie za sobą naszą zupełną ruinę. Północno-amerykański system gospodarczy jeszcze nie osiągnął poziomu, przy którym potrafiłby wchłonąć nadwyżki swej własnej produkcji". Przetłumaczone na zwykły język subtelne wywody Bevan'a oznaczają, że imperializm amerykański dusi się we własnych sprzecznościach, że źródłem tych sprzeczności jest kapitalizm i że wyjście z nich widzą imperialiści amerykańscy w wojnie.

Polityka zbrojeń, do której Stany Zjednoczone wciągnęły swych satelitów doprowadza tych ostatnich w jeszcze szybszym tempie do ruiny niż same Stany Zjednoczone. Szczególnie ciężko skutki tej polityki odczuwa Wielka Brytania. Odczuwa ją nie tylko angielska klasa robotnicza ale też niektóre grupy kapitalistów brytyjskich. W ich imieniu przemawia Bevan, gdy stwierdza: „Być może, zasoby gospodarcze Stanów Zjednoczonych pozwalają im dźwignąć ciężar zbrojeń bez specjalnych wstrząsów (ironia Bevan'a, który przecież podkreśla, że taka polityka musi doprowadzić USA do katastrofy — AR). Ale w żadnym wypadku nie stosuje się to do ich sprzymierzeńców".

Ze szczególnie ostrą krytyką spotyka się ze strony Bevan'a amerykańska polityka na Dalekim Wschodzie. Należy pamiętać, ze obrót gospodarczy z Chinami i całym w ogóle Wschodem azjatyckim jest głównym filarem potęgi kapitalizmu brytyjskiego. Mówiąc o Chinach jako „naturalnym partnerze handlowym Zachodu", Bevan stwierdza zarazem, że zagadnienia walki narodowo-wyzwoleńczej nie da się rozwiązać przy pomocy siły zbrojnej: „Wygłodzone masy Azji pragną pomocy materialnej, my posyłamy im armaty". Przyznając, że narody Azji nie chcą już żyć po dawnemu, że nie uda się cofnąć koła historii w Chinach — Bevan dochodzi do wniosku: „Z tego punktu widzenia odmowa przyjęcia Nowych Chin do ONZ i uparte uznawanie reżimu Czang Kai-szeka świadczy o braku realizmu". Jasne, że burżuazję angielską irytuje „brak realizmu" USA, który uniemożliwia jej korzystne stosunki gospodarcze z Chinami. Pod tym kątem należy rozumieć oświadczenie Bevan'a, że „podpisanie traktatu pokojowego z Japonią bez udziału rzeczywistego rządu Chin to akt dyplomatyczny, świadczący o trudnej do uwierzenia niezręczności". Natomiast aż nazbyt realistyczny jest atak USA na pozycje gospodarcze Wielkiej Brytanii w Indiach. Bevan przemilcza to dyskretnie. Woli nie ujawniać sprzeczności.

Ale sprzeczności anglo-amerykańskie nie ograniczają się jak wiadomo do Dalekiego Wschodu. Poważne rozdźwięki istnieją między obydwoma imperializmami w sprawie niemieckiej. Stany Zjednoczone pragną z Niemiec Zachodnich zrobić swego głównego satelitę w Europie. Liczne koła przemysłowe Wielkiej Brytanii boją się konkurencji opanowanego przez monopole amerykańskie przemysłu niemieckiego. Już zresztą obecnie wyroby niemieckie wypierają z wielu rynków wyroby brytyjskie. Dlatego też niektóre koła brytyjskiej burżuazji niechętnie widziałyby Trizonię, jako pełnoprawnego (a praktycznie **przodującego)** partnera tzw. „wspólnoty atlantyckiej", na co nalegają i co forsują mimo sprzeciwu swych satelitów Stany Zjednoczone. Temu również Bevan daje wyraz starając się przy okazji stroić w piórka obrońcy pokoju: „Musimy dążyć do uniknięcia nowych przyczyn naprężenia sytuacji Niemiec Zachodnich".

✻

Oczywiście nie należy brać wszystkich oświadczeń Bevan'a dosłownie — ma za sobą długoletnie doświadczenie własne i swojej partii w operowaniu demagogicznymi hasłami, pod którymi kryje się treść całkowicie odmienna. Nie na darmo Bevana nazywają przecież 2-gą rezerwą burżuazji brytyjskiej (pierwsza to dzisiejsze kierownictwo Labor Party). Ale dlatego właśnie jego wypowiedzi na zewnątrz są tym bardziej symptomatyczne dla nastrojów nurtujących nie tylko angielskie masy ludowe ale też i poważne koła burżuazji brytyjskiej.

Bevan nie jest w zasadzie wrogiem paktu atlantyckiego, a nawet zbrojeniom przeciwstawia się nie ze względów zasadniczych, ale taktycznych. Doprowadziłyby do ruiny drobną burżuazję, a ferment w masach robotniczych — do rewolucyjnego wrzenia. Minęły zaś czasy, gdy wrzenie i nędzę mas rozładowywała burżuazja angielska wysyłając „burzący się gmin" za ocean,

Rys. B. Jefimow. 1949.

przemieniając buntowników w kolonizatorów i strażników imperium. Nie ma już terenów na „eksport ludzi". Dziś ferment i wrzenie grożą samemu istnieniu kapitalizmu brytyjskiego. Bevan ma temu zapobiec. Jego zadanie polega na utrzymaniu buntujących się dołów w ramach organizacji labourzystowskiej bez zmian istotnych w programie i polityce Labour Party, przy zachowaniu jej charakteru narzędzia władzy kapitalistów nad klasą robotniczą. Bevan ma zapobiec przekształcaniu się nastrojów antyamerykańskich w klasową, rewolucyjną świadomość, ma ułatwić burżuazji angielskiej rozgrywkę z Waszyngtonem o utracone pozycje zamorskie.

Bevan nie jest dla burżuazji kłopotliwy. Jest korzystny. Kłopotliwy jest tylko dla Attlee i Morrissona, których pozycji coraz bardziej zagraża. Natomiast dla Wielkiej Brytanii i jej klasy robotniczej może się stać groźnie niebezpieczny, gdyby rosnąc we wpływy usypiał czujność klasową i opóźniał wyrugowanie agentów kapitalizmu z kierownictwa partii, podszywającej się pod reprezentację interesów świata pracy.

Albert Rolland

TE—GI—CZEN

K O R E A Ń S K A M A T K A

Białe szaty przyodziewa matka
I na wzgórze za wsią śpieszy.
Po zielonym zboczu,
Żółtą wstęgą drogi,
Idzie człowiek.
Trzeci syn jej — ochotnik —
Do Ludowej Armii odchodzi.

A przed rokiem
Pierwszy poszedł,
Przed miesiącem
Ruszył drugi,
Teraz trzeci w ślady braci
Idzie zboczem wśród zieleni.
Matka stoi,
Matka patrzy...
Czyżby serce jej z kamienia?

Któż wie: kiedy srebrny szron
Osiadł na jej czarnych włosach?
Życie matki — wszystkie lata —
Były niby ciemne noce,
Było niby gęsty mrok.

Ryż na polu zaszeleścił
Kołysany lekkim wiatrem,
Cieply podmuch pieści twarz
Posiwiałej matki.

Dzień sierpniowy,
Dzień wolności
Życia jej osłodził trud,
Losy synów jej odmienił.
Poszła matka tam gdzie grób,
Poszła na mogiłę męża,
Zapłakała — przecież on
Za tę sprawę zmarł w więzieniu,
Nie doczekał tego dnia,
W którym lud zwyciężył...

Ledwie ranne słońce wstanie
I rozproszy nocy cienie,
Matka śpieszy na pagórek,
Tam gdzie żółta biegnie droga —
Długa jak westchnienie.

Ale oczy matki suche,
Łzy w nich nie zobaczysz —
Póki wojna się nie skończy,
Matka nie zapłacze.

Matko ziemi koreańskiej,
Czemu suche oczy masz
I bez płaczu żegnasz synów?
Płoną miasta, płoną wsie
Odblask ognia pada w twarz...

Ty nie pytaj,
Ty nie pytaj,
Czemu z oczu łzy nie spłyną.
Ty nie pytaj,
Ty nie pytaj,
Bo gniew serce matki trawi,
Bo jej sercem targa ból,
Bo w jej sercu jest nienawiść.

A gdy wojna skończy się,
Gdy do domów wróci młodzież,
Na pagórek wstąpi matka —
Biała będzie na niej odzież,
Mokre będą oczy jej,
Łzy zmarszczkami z twarzy spłyną...
Matka będzie czekać synów.

A gdy na zielone zbocze
Drogi, sercem wykreślonej,
Trzej synowie ukochani
Zwyciężywszy wrogów wkroczą,
Gdy zwycięska zabrzmi pieśń,
Łzy omyją matki oczy
I nie skryje matka łez.

Tłum. Marian Bielicki

(Przekład na podstawie tłumaczenia filologicznego)

JULIAN STAWIŃSKI

Gdy prawda grozi zagładą

WIEC'ZNE pióra wciąż jeszcze były nowością, pierwsze samochody nadal budziły sensację, gdy car Mikołaj zwoływał do Hagi międzynarodową konferencję Pokoju, a Paryż przygotowywał się do rozpoczęcia stulecia przeglądem cywilizacji kapitalistycznej na Wystawie Światowej. Świat wydawał się młody. Ale kapitalizm dawno już utracił młodość. Nadciągał wiek gnicia, rozkładu i klęski. Ludzkość wkraczała w epokę rewolucji proletariatu, niosących Ziemi nowy ustrój i kształt. Na polu kultury kapitalizm mobilizował dla obrony ciemnotę, terror i fałsz.

Prof. James Burgess publikował swe tezy o „wyższości Nordyków", Josiah Strong głosił z kazalnicy „rozszerzony obowiązek narodowy", ławica małych literackich kiplingów płynęła śladami wielkiego Rudyarda. Dyrygentem koncertu sztuki stawała się „wielka pałka" Teodora Roosevelta, a kijem tym zaganiano opornych do dźwigania „brzmienia Białego Człowieka" z Białego Domu, poszukującego terenów ekspansji dla firmy **Morgan Partnera** oraz jej monopolistycznych pobratymców. „Was fuer Plunder!" — wołał gen. Bluecher podziwiając widok Londynu z kopuły św. Pawła. Zachwycone tą gotowością ataku na konkurencyjny imperializm brytyjski, nowojorskie Stowarzyszenie Pokoju i Instytut Carnegie wybiły wspaniały medal dedykowany „Defensori Pacis" — Wilhelmowi II. Było to w roku 1913, w przededniu pierwszej rzezi światowej.

„Im bardziej — mówił Marks — pogłębia się sprzeczność między rosnącymi siłami produkcji a istniejącym ustrojem społecznym, tym większa hipokryzja przepaja ideologię klasy rządzącej. Ponadto, im wyraziściej życie ujawnia kłamliwy charakter tej ideologii, tym język jakim posługuje się klasa panująca staje się wznioślejszy i cnotliwszy".

Każde przemówienie, wygłoszone publicznie w USA, jest tego dobitną ilustracją. Wilson przed 35 laty nawoływał do „wojny dla skończenia z wojną" a Bernard Baruch poucza dziś, że „należy przestać mówić o zimnej wojnie i zacząć wzywać do zdobywania pokoju". Carnegie pospołu z kajzerem zdobywali pokój na równinach Flandrii, Baruch pospołu z Trumanem czyni to na polach Korei. Przy pomocy czołgów, samolotów i wszy zdobywają „pokój" narodów azjatyckich, przy pomocy ustaw wyjątkowych — „pokój" i lojalność własnego narodu.

Darwinowska walka o byt i wzajemne pożeranie się rywali tworzą credo kapitalizmu w życiu publicznym i prywatnym. W ostrym świetle prawdziwej sztuki ukazuje się cała nieludzkość i ohyda tego mechanizmu, wyłaniają się posępne zarysy dreiserowskiej Tragedii Amerykańskiej.

✻

Narzędzia i środki upowszechniania kultury i jej owoców nie leżą więc w ręku współtwórców kultury — uczonych, pisarzy, wychowawców. Nie oni orzekają, czy książka jest dobra, a film na poziomie, nie oni ustalają kryteria wartości, nie oni oddzielają ziarno od plew i szkodliwych chwastów. Czynią to przedsiębiorcy „robiący" w kulturze, jak inni „robią" w perkalikach, węglu, czy zbrojeniach. I swoją miarę piękna przykładają do wypuszczanych przez siebie na rynek „towarów". A także swoją miarę zysku. A miara ta jest zglajchszaltowana jednolicie, jak cała mentalność „górnych dziesięciu tysięcy".

Ale na tym nie koniec. Górnych dziesięć tysięcy, mimo celową grubość naskórka wyczuwa trafnie i wie znakomicie, co za spustoszenie powstaje w umysłach społeczeństwa wziętego we dwa ognie — deprawacji i ogłupienia. Jaki skutek wywiera bezustanne bombardowanie szmirą — w książce, gazecie, z ekranu, przez radio. Obręcz nędzy, niedożywienia, ciemnoty skuwa wolę Murzynów i znacznych odłamów innych „niższych" ras — Meksykanów, Włochów, Polaków... A gdzie tę śrubę dalej zaciskać byłoby niebezpiecznie — wolę osłabia i umysł zaciemnia potężne działanie głupoty i brudu. Dla utrwalenia i ciągłości działania powstają cykle, serie, odcinki, całe mechanizmy powiązanych ze sobą, zazębiających się filmów, audycyj, reportaży, omówień, całe piramidy wydawniczo-sceniczne, z ilustracją muzyczną, kreskową, obrazkową, barwną, wieloplanową, wieloznaczeniową — i bardzo jednoznaczną.

Materialne podstawy kultury amerykańskiej są bez reszty przedmiotem niczym nieograniczonej i niekontrolowanej własności Morganów, Mellonów, Rockefellerów, Fordów, Du Pontów. Oni więc, sami, lub przez swych zaufańców, decydują o obliczu kulturalnym kraju. Niegdyś — farmer, sklepikarz, właściciel fabryczki płacąc podatki zależał od siebie i lżejszej władzy państwa. Dzisiaj także płaci podatki choć znacznie wyższe, ale zależy całkowicie od wielkich central finansowych, wielkich trustów, które jednym pociągnięciem pióra mogą skazać na śmierć cywilną — a nieraz i fizyczną — każdego obywatela; państwo uczyniły one giętkim narzędziem władzy górnego tysiąca, czy dziesięciu tysięcy.

Jaki jest zasięg tego procesu, który niewątpliwie jest procesem ostatecznego rozkładu społeczeństwa burżuazyjnego. Oczywiście najbardziej mu uległy te warstwy, które najbardziej są wystawione na atak i działanie produktów gnilnych, które pod marką kultury i w barwnym opakowaniu rozpowszechnia mechaniczny producent: cała wielka i drobna burżuazja—z wyjątkiem tych kół inteligencji, których organizm zdołał oprzeć się zakażeniu i wytworzyć odtrutkę — część farmerów tworzących masowego odbiorcę, wreszcie arystokracja robotnicza, którą kapitalizm dzięki hasłom reformistycznym zdołał przeciągnąć na swoją stronę.

Natomiast szerokie koła klasy robotniczej, proletariat rolny i niezamożni farmerzy wykazują najmniejszą chłonność i podatność. Toteż przeciwko nim, a zwłaszcza przeciw ich dzieciom kieruje się główny napór groszowych wydawnictw, filmu i radia. Trudno przecenić doniosłość tej bitwy. Jej wyniki mogą znacznie przyspieszyć, lub poważnie opóźnić rozwój świadomości społecznej. Dzieci w USA dojrzewają wcześnie, wcześnie też wyrabiają w sobie mocne poczucie rzeczywistości i duży zmysł krytyczny połączony z pewną przymieszką cynizmu. Cechy te będą dla nich zapewne pancerzem ochronnym w tej walce.

✻

W lutym 1952 na uniwersytecie w Chicago przeprowadzono znamienną ankietę: studentom kazano się wypowiedzieć o propozycjach kontroli energii atomowej, nie mówiąc im jednak, które wnioski objęte są planem radzieckim, które zaś amerykańskim. Wyniki były rewelacyjne. 6 proc. studentów skrytykowało wszystkie propozycje, 24 proc. uchyliło się od wyboru, 6,3 proc. zaaprobowało plan USA, przy czym odgadli autorstwo, 63,7 proc. wypowiedziało sie za planem radzieckim. Zwraca uwagę, że tylko 10 proc. zidentyfikowało propozycje amerykańskie i że wśród zwolenników propozycji radzieckich większość była przekonana, iż ze względu na swe zalety muszą to być wnioski USA. Wyniki tej ankiety wywołały poważne reprekursje zagranicą; w Stanach Zjednoczonych ogłosiło je tylko małe pisemko Chicago Maroon, bo publiczne ich omawianie, było wcale nie na rękę dla czynników rządzących. Wyniki te świadczą, że polityka USA opiera się na niepewnym, grzązkim i obosiecznym fundamencie fałszu i niewiedzy. Ankieta utwierdziła Trumanów i Macfaddenów w przeświadczeniu żywionym od dawna, że prawda byłaby dla nich zabójczą. Rozpatrując rzecz z tego punktu widzenia przyznać trzeba że monopole miały swoistą rację, kiedy rekami Sądu Najwyższego złamały konstytucję i odrzucając wolność prasy, zgromadzeń i słowa, skazały 11 przywódców komunistycznych za propagowanie pokoju i zwalczanie faszyzmu. Sąd Najwyższy w sposób nader wykrętny uzasadniał w motywach swego orzeczenia istnienie „niebezpieczeństwa rzeczywistego i bezpośredniego" imputując Partii Komunistycznej agitowanie za obaleniem rządu przemocą. Komuniści takiej agitacji nie uprawiają, wystarczy jednak, że mówią prawdę, wystarczy, by prawda ta doszła do wiadomości ogółu, aby rząd, ustrój i monopole znalazły się w rzeczywistym niebezpieczeństwie.

Nie mają wyjścia. Muszą kłamać i ogłupiać społeczeństwo — dopóki społeczeństwo im na to pozwala. Poczucie rzeczywistości mówi im bez osłonek, że od tego zależy ich byt.

✻

„Wiedza będzie ciśnięta w błoto, zdeptana racicami bydlęcej tłuszczy!" — grzmiał Burke z nienawistnym spojrzeniem wbitym w rewolucyjny lud. Nie przewidział zapewne, że półtora wieku później w Camp Detrick, stanu Maryland, 4.000 „uczonych" pod wodzą gen. Waitta i „doradcy bakteriologicznego" George W. Mercka mozolić się będzie nad znalezieniem sposobów skutecznego zasnucia kuli ziemskiej czarnym całunem zarazy. Że drugie tyle, pod wodzą gen. Grovesa i doradcy atomowego Vannevar Busha będzie wysilać swe mózgi — których sprawność jest dziełem wielu ludzkich pokoleń — nad znalezieniem metody wysadzenia w powietrze zakażonej przez ich kolegów ludzkości.

Aimé Césaire, w głośnej „Rozprawie o kolonializmie" pisał:

„Czegoż to dokonała burżuazja? Podkopała cywilizacje, zburzyła ojczyzny, zniszczyła narody, wydarła z korzeniami „wielorakość istnienia". Padają falochrony, kruszą się zapory. Wybiła godzina barbarzyńcy. Nowoczesnego barbarzyńcy. Godzina amerykańska: gwałt, przemoc, marnotrawstwo, sprzedajność, kłamstwo, rozuzdane stado — Głupota, Prostactwo, Nierząd..."

Uczeni francuscy wystosowali niedawno, pełen grozy i przerażenia zdeprawowaniem nauki ,list otwarty do uczonych amerykańskich, fizyków, lekarzy, bakteriologów. Nie odpowiedział im ani jeden głos. Zgnilizna sumień i mózgów poraziła im mowę. Zgnilizna — twór, sługa i najwierniejszy sojusznik imperializmu.

Julian Stawiński

JERZY K. MACIEJEWSKI

Listy z Podhala

EMIL RASZKA WZYWA WIŚLAN

Urlop w tym roku spędziłem w Wiśle. Maj nie był tu pogodnym miesiącem. Toteż na wędrówki pociągnęła mnie nie tyle żyłka turystyczna ile stara, spokoju nie dająca żyłka dziennikarska. Dla tutejszych chłopów Wisła to pięć dolin i pięć osad, to 11 km od krańca do krańca i 111 km² obszaru.

Ze szczególnym wzruszeniem — muszę to wyznać — szedłem nad rzekę, którą kilka dni wcześniej żegnałem ze śląskiego mostu w Warszawie. Tutaj była płytka i wąska, że byle pies przeprawia się przez nią bez większego trudu. Właśnie przeprawiały się krowy. I nic w tym obrazku nie było nadzwyczajnego. A przecież stałem prawie u źródła Wisły, u źródła rzeki, której nazwę kiedy wymawiamy, to jakbyśmy mówili: ojczyzna. Obejrzałem się za krowami, opodal motykowały dwie kobiety.

— Cóż tu u Was nowego? — zagadnąłem.

Wyprostowała się starsza — nowego? Syn pojechał nad Odrę i już listy pisze, to mamy nowość.

Wyjechał... listy pisze... Poczułem, że koniec z moim urlopem. Nie ma już wczasowicza i grzejącego stare kości łazęgi. Jest znów dziennikarz, właśnie u źródeł Wisły, dokąd nadchodzą listy znad Odry. Czy pozwolę im tak cicho i domowo kursować? Na honor dziennikarski — nie pozwolę.

Puściłem w ruch sztukę dyplomacji. Co kopią? Grządki pod kapustę. A dużo ziemi? Niecały hektar; „starka" ma jeszcze „wymowę", czyli dożywocie. Nazywa się Ewa Kubala. Wychowała pięcioro dzieci, trzech synów i dwie córki. A ten co wyjechał? Karol, a ta, co jej pomaga przy kapuście? — Joanna, zamężna, Joanna Czyż. A listy? — Pociechy z nich nie będziecie mieli, bo syn do pisania niełatwy, gryzmoli tam, co ino dla rodziny ciekawe. A listy kto ma? — Joanna. Do chałupy było niedaleko.

W samej rzeczy arkusiki papieru pogryzmolone ołówkiem i zatłuszczone. Ale jest w nich również coś dla świata. Karol Kubala wypytuje w listach o niedawny zatarg z sąsiadem — kowalem. Jeszcze tkwi częścią duszy w dolinie nad Wisełką, ale drugą częścią duszy już żyje nowym.

„Na razie pracuję w lesie. Leśniczy jest morowy chłop. Rai mnie z tutejszymi dziewuchami, ale choć niczego sobie dziewczyny, boję się czy nie wietrznice. Z taką człowiek nigdy nie byłby pewien. Ja, jeżelibym się już miał żenić, to z wiślanką. Te są najlepsze. Dlatego też myślę przyjechać po żniwach do Was, to się rozejrzę..."

A w drugim liście datowanym 18 maja.

„Ziemniaki już zasadzone, jeszcze mam łubin zasiać na zielony gnój, bo z żytem w części nie wyszło. Przyjechaliśmy za późno i w Gminnej Spółdzielni nasiona selekcyjne na zasiew były już w większości rozsprzedane, a swoich nie mieliśmy. Na jesieni urządzimy się lepiej."

— Jak to się stało, że wasz brat zdecydował się na wyjazd?

Foto J. K. Maciejewski

— A bo on pojechał z całą paczką. Organizował ich Emil Raszka.

— A skąd Raszka pochodzi?

— Tutejszy. Matka jego mieszka w Głębcach, na groni.

◆

Emil Raszka — nieślubne dziecko wyrobnicy. Po wyzwoleniu pracował w lesie. Wstąpił do Partii. Jakiś czas był kierownikiem miejscowego SOM, aż do jego zlikwidowania. Stracił przejściowo pracę, a w dodatku borykał się z wielkimi trudnościami mieszkaniowymi (w Wiśle nie ma gospodarki mieszkaniowej), więc kiedy wyczytał w prasie o nowym wezwaniu na Ziemie Zachodnie zmówili się: Emil Raszka z żoną i dzieckiem, Jan Martynek, robotnik, siostra żony Emila, a narzeczona Martynka i Kubala, że tam, „daleko od Wisełki" spróbują budować nowe życie.

Matka Emila Raszki, Zuzanna, mieszka w Głębcach-Wiśle „na groni", w cudzym i pustką wiejącym domu, jako jego dozorczyni. Za dozór ma prawo mieszkania i użytkowania skrawka ogrodu, liczącego wraz z zabudowaniami 10 arów. Dzierżawi nadto mały skrawek ziemi, gdzie sadzi ziemniaki. Zeszły rok był tu urodzajny, więc zebrała 6 czy 7 worków kartofli. Poza tym dorabia gdzie może. Jest wyrobnicą na posługach. Ma za sobą burzliwe życie: była na robotach w Niemczech, w Czechosłowacji. Za każdym razem przywoziła z sobą dziecko. Teraz opiekuje się swym wnuczkiem, 6-letnim Józiem Szturcem, synem córki Zuzanny, która wyszła za robotnika leśnego.

Raszkowa, gdy wszedłem, słuchała razem z wnuczkiem płynącej z zawieszonego na ścianie głośnika audycji dla małych dzieci o koziołkach i żabkach. Przerwałem im „tyjater", ale że w sprawie syna Emila „starka" z przyjemnością zabrała się do opowiadania. Władze gminne dały wyjeżdżającym osadnikom wszelką pomoc, począwszy od załadowania i przewiezienia urządzenia domowego na stację kolejową w Wiśle, aż do zagospodarowania się na nowym miejscu.

O dalszych losach Emila wie z listu, jaki do niej pisał, jak i — znacznie obszerniej, choć niemal w jednobrzmiących słowach — do Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Wiśle.

— A czemu nie pojechaliście z synem?

— Pojechałabym — zaczęła, unikając mego wzroku — gdyby zabrali się wszyscy... — ręka jej zatoczyła nieokreślony łuk.

— To znaczy?

— Ano, jakby inne dzieci... — wyjaśniała wykrętnie, zdając sobie sprawę, że trudno byłoby zwerbować np. Pawła, pracującego w fabryce w Ustroniu, albo trzeciego syna, przebywającego w Czechosłowacji.

— A kiedy pojedziecie?

— Pewnikiem po żniwach. Po żniwach to musowo, bo Emil apel ogłosił. Więc jesienią z drugą pielgrzymką honorowo pojadę.

Emil pisał:

„Skreślam Wam parę słów z nowego miejsca, jako pierwszy osadnik w województwie zielonogórskim z Wisły. Przyjechaliśmy do Krosna Odrzańskiego w środę dnia 30 kwietnia br. o godz. 7, a na miejsce, do domu, samochodem ciężarowym o godz. 11. Jest nam tu dobrze, chociaż to początek, najgorsze już minęło. Trwało zaledwie jeden tydzień, teraz idzie już ku lepszemu, bo teraz, chociaż nas jest sporo do jedzenia, gdyż jesteśmy wszyscy ra-

Foto J. K. Maciejewski

zem (5 osób dorosłych), — lepiej jemy, jak w Wiśle.

Kubala i Martynek pracują jako robotnicy leśni, a ja jako „gazda" na razie obijam się jeszcze w polu i koło domu, ale w niedługim czasie i ja pójdę coś przyrobić do lasu w wolnych chwilach.

Pracy tu jest dość. Chcą mnie wybrać sołtysem. Nie chcę tego przyjąć, bom jeszcze nieobeznany z terenem, ale prawdopodobnie przyjmę. Ludzie są nieźli, choć zjechali się ze wszystkich stron Polski. Każdy rozumie, że nowy osiedleniec, to mu trzeba pomóc.

Dostanę pożyczkę na zakup świń i na odbudowę gospodarki. Jak sobie odbuduję tak do porządku i zagospodaruję się, to tych niedowiarków z Wisły zaproszę do siebie i pokażę im, jak się żyje na Ziemiach Zachodnich.

A teraz proszę o ogłoszenie przez radiowęzeł poniższego pisma rodzinom wiślańskim, mogącym wyjechać na Ziemie Zachodnie, ażeby przyjechali, żeby nas było więcej. Ja, Emil Raszka, pierwszy osadnik w woj. zielonogórskim, apeluję do swoich sąsiadów i znajomych:

Przyjeżdżajcie! Czekają na was ładne domki i gospodarstwa z dobrą ziemią. W naszych sąsiednich powiatach, jak niemal w każdej gromadzie i gminie, czy województwie, są jeszcze gospodarstwa do objęcia od niecałego 1 ha do 13—15 ha. Ziemia czeka na gospodarzy, którzy by ją uprawiali.

Nie wierzcie plotkarzom, którzy opowiadają niestworzone rzeczy o osiedleniu. Po co Wam prosić o cudze, do tego liche mieszkanie i odrabiać za nie, kiedy tu możecie mieć ładne swoje mieszkanie i gospodarkę.

Przyjeżdżajcie. Nie będziecie żałować. Otrzymacie wszystko, co przewiduje uchwała Prezydium Rządu w sprawie akcji osiedleńczej na Ziemiach Zachodnich.

Pozdrawiam Was wszystkich!

Emil Raszka
gr. Brzeźnica nr 27, Dąbie
Lubuskie, pow. Krosno
Odrzańskie.

Raszkowa wzięła ode mnie list i złożyła go pieczołowicie.

— List pokazujecie sąsiadom?

— Był podany i przez radiowęzeł i sąsiadom do czytania daję, ale, na to trzeba czasu do zastanowienia. To nie to, co jechać do Wisły, czy chociażby Cieszyna. I nie każdy pojedzie. Ten bogacz z doliny, co to willów sobie koło szosy nastawiał, z pewnością nie pojedzie...

Przypomniałem sobie tego bogacza w dolinie Czarnej. Na polu, rozpostartym na zboczu góry kilkanaście kobiet ustawionych w gęstą tyralierę, motykowało zawzięcie ziemniaki. Z prawego skrzydła flankował je ów kułak Samiec, z lewego — jego żona. Nadawali tempo pracy. Na pytanie, komu to okopują ziemniaki, po chwilowym milczeniu jedna z kobiet odparła, że przyszły tu „na pobabę", czyli — dodała wyjaśniająco—jest to pomoc sąsiedzka. Aha, chciałbym sobie wyobrazić starą Raszkową, albo Kubalową, albo Czyżową, których posiadłości nie przekraczają kilkudziesięciu arów z taką falangą sąsiadek w „pomocy sąsiedzkiej".

Jerzy K. Maciejewski

IRENA MATYSIAK

„ŻYCIE ZA DNIÓWKĘ"*)

W OKRESIE dwudziestolecia „...z pracowni żadnego z instytutów „badań społecznych" nie wyszło „Młode pokolenie robotników". Istniały bowiem podstawowe różnice między stopniem rewolucyjnej świadomości mas robotniczych a chłopskich. Pamiętnik robotniczy osnuty jest z reguły niemal wokół osi konstrukcyjnej, jaką stanowi droga tych doświadczeń zawodowych i politycznych proletariusza, które pogłębiają jego świadomość klasową. Życiorys robotnika obrazuje dorastanie proletariusza do pozycji świadomego rewolucjonisty" **). Czytając uzyskane drogą konkursu Polskiego Radia oraz PIW-u „Wspomnienia robotników" zdajemy sobie sprawę, że nawet najbardziej liberalna cenzura burżuazyjna nie przepuściłaby pamiętników tego typu, tak bardzo jednoznaczna i oskarżająca jest ich społeczna wymowa. Mimo ogromnego zróżnicowania indywidualnych losów autorów poszczególnych „Wspomnień" śledzimy na kartach pamiętników ich „wspólną" drogę, drogę całej klasy wiodącą od nędzy i bezradnej rozpaczy do organizacji robotniczych,, do zrozumienia tej podstawowej prawdy, sformułowanej pięknie przez Marksa, że „proletariusz nie ma nic do stracenia prócz swych kajdan, a do zdobycia cały świat", do świadomej, ciężkiej i uporczywej walki o zdobycie sobie praw do ludzkiego życia. Ten proces politycznego „dojrzewania" klasy robotniczej do walki z kapitalizmem wraz z samą walką nie znalazł na terenie naszej literatury dotyczącej 20-stolecia, ani tym bardziej powstałej w 20-stoleciu należytego odbicia. Jedyną książką, która do tego problemu rzeczywiście dotarła, która pokazała go prawdziwie, jest „Stare i nowe" Rudnickiego.

„Matka i syn" Bobruka oraz „Życie za dniówkę" Felisa — odznaczone I i II-gą nagrodą pamiętniki z serii „Wspomnień robotników", to książki, które podobnie jak „Stare i nowe" poszerzają spojrzenie na historię, a w szczególności na historię ruchu robotniczego i jego walki o całą niezmiernie bogatą sumę doświadczeń ich bohaterów, ludzi, którzy poprzez lata ciężkiego dzieciństwa, poprzez głód, bezrobocie i więzienia młodości spędzonej w Polsce kapitalistycznej, doszli do pozycji działaczy politycznych Polski Ludowej, to książki, które wstrząsają swoją żarliwością i pasją, książki, które czyta się „jednym tchem". Mimo pozornej jednolitości formy pamiętnika, jaką reprezentują, zadziwiają różnorodnością ujęć. I tak przykładowo: książka Feliksa to pamiętnik - biografia, to dzieje życia jednego tylko robotnika ukazane na tle metod „pracy i zarobkowania" kapitalisty, to zapisane we wspomnieniu, w przeżyciu robotnika dwa bieguny kapitalistycznego świata, pamiętnik Bobruka natomiast obejmuje materiał szerszy, są to dzieje już nie jednostki, ale pewnej zbiorowości jaką jest rodzina autora. Równolegle prowadzono losy poszczególnych członków tej rodziny, ze szczególnie mocnym uwzględnieniem ciężkiego życia matki autora (postaci, która w wielu rysach przypomina postać Niłowny z „Matki" Gorkiego) —stwarzają zwartą całość konstrukcyjną o niezwykle głębokiej sile oddziaływania.

„Życie za dniówkę", to zbeletryzowany, nasycony bogatym doświadczeniem życiorys jednego z wielu proletaryzujących się biedniaków, uwidocznianego w burżuazyjnych statystykach, jako cząsteczka owych 6-ciu milionów „zbędnych rąk roboczych" w rolnictwie, życiorys, który poprzez swój silny związek z nurtem historii staje się zwierciadłem czasu. Poprzez niezmiernie rzeczowy, prawie wyłącznie relacjonujący tok opowiadania, niedopuszczający żadnych wtrętów uczuciowych, przedziera się nieformułowany wręcz, a zrodzony poprzez wymowę rzeczywistości opisywanej krzyk protestu, który nasycał atmosferę tych lat, lat „głodu, kryzysu, faszyzmu". Pamiętnik Felisa przy zachowaniu swego „osobistego", jednostkowego charakteru „wspomnień" należy do historii. Wiernie oddaje oblicze wielkich historycznych procesów zachodzących w latach 20-stych i 30-stych naszego wieku. U samego początku pamiętnika stajemy wobec masowej ruiny drobnych gospodarstw chłopskich, które w szczególnie wielkich rozmiarach wystąpiła w latach 20-stych i w wyniku, której poszerzają się szeregi proletariatu. W dalszej części obserwujemy namacalnie niejako — poprzez opis egzystencji bohatera — zaostrzanie się ogólnego kryzysu kapitalizmu z jego nieustannym bezrobociem i nieustannym obniżaniem się stopy życiowej szerokich mas robotniczych i chłopskich. Rewolucyjna świadomość sproletaryzowanego biedniaka-Felisa, nie docierającego do większych środowisk robotniczych, skazanego na sezonową pracę najgorzej opłacaną, narastać będzie bardzo powoli, bo nie poprzez zetknięcie się z ruchem robotniczym, ale drogą własnych obserwacji, własnych coraz cięższych doświadczeń, wśród których szczególnie znamiennie rysują się lata 1931—35, lata masowych „redukcji", masowego bezrobocia i nędzy. Lata te na fali strajków i wieców protestacyjnych

Przodownik pracy, Józefczyk Kazimierz — Nowa Huta

przyniosły wzmożenie bojowej świadomości klasy robotniczej, przyniosły przeświadczenie sformułowane w pamiętniku Felisa, że „coś tu nie w porządku", skoro „fabryki włókiennicze stoją nieczynne, lub pracują dwa dni w tygodniu, gdy tymczasem ja chodzę w podartym ubraniu i setki tysięcy dzieci robotniczych i chłopskich posiada po jednej podartej koszulinie. Pociągi chodzą puste, a wzdłuż toru maszerują dziesiątki ludzi od miasta do miasta. Siedzę tutaj głodny i tysiące takich jak ja cierpi głód, gdy tymczasem żywność niszczy się masowo". Poprzez wędrówki bezdomnych „rajzerów", poszukujących pracy i chleba, poprzez ich ciężkie doświadczenia widzimy w pamiętniku Felisa proces organizowania się robotników w związki zawodowe dla obrony interesów robotnika. Autor „Życia za dniówkę" doprowadza nas więc w swym pamiętniku tylko do momentu dojścia do pozycji rewolucyjnego ruchu robotniczego, pokazuje, jak długa była ta droga. Nie pokazuje jej ciągu dalszego, wiodącego do podziemnej KPP, do kontaktów ze Związkiem Radzieckim, ale jednocześnie do więzień i karcerów, co wypełniło karty pamiętnika Bobruka. Sens doświadczeń zdobytych w ciężkiej pracy kamieniarza, pracy najbardziej wykorzystywanej, a jedynej, jaką można było zdobyć w latach kryzysu, oraz doświadczeń bezrobotnego, niepotrzebnego nikomu człowieka kapitalistycznej Polski zamknął autor w zakończeniu swego pamiętnika pisząc we wrześniu 1939 r., pod wrażeniem zdrady narodu przez władze sanacji: „Dla takich jak ja nie było pracy, wyrzucano nas z roboty. Za to bezpiecznie pracowali szpiedzy i dywersanci niemieccy. Zrozumiałem...". Wydane przez PIW „Wspomnienia robotników" pokazują jak rozmaitymi drogami szło owo „zrozumienie" sensu i konieczności walk. U tych, co wiodąc „Życie za dniówkę" zmuszeni byli w poszukiwaniu pracy przemierzać pieszo coraz nowe połacie kraju, co rzadko znajdowali czas i warunki na przeczytanie gazety, a jeszcze rzadziej książki, dokonywało się ono, jak o tym mówią wspomnienia Felisa opornie — ale nieodwołalnie. Wstrząsają i na długo zostają w pamięci obrazy straszliwej nędzy, w jakiej żyli wyrobnicy wiejscy i robotnicy. Złą, nieludzką zmorą wydaje się nam dziś to beznadziejne życie, obarczone jedyną troską, troską o zdobycie kawałka chleba, o utrzymanie się przy życiu. Podziwiamy i szanujemy głęboką wiarę i wytrwałość ludzi, którzy mieli odwagę walczyć ze zorganizowanym złem kapitalistycznego świata, którzy potrafili w tamtych czasach myśleć o „nowym", i walczyć o nie. Uczymy się od nich wytrwałości i hartu woli. Przekonywająca, pełna życiowej prawdy jest postać „dobrotliwego" „kapitalisty i obszarnika w jednej osobie", który pod maską serdeczności reprezentuje najbardziej drapieżne i nieludzkie formy wyzysku, od obniżania „dniówki" począwszy, poprzez zwiększanie godzin pracy i okropne warunki higieniczne aż po wyrzucanie na bruk i pozbawianie rodzin robotniczych środków do życia. Piękne i głęboko ludzkie są te partie pamiętnika, w których widzimy gniew i oburzenie na widok potwornych upokorzeń na jakie skazany jest człowiek w ustroju kapitalistycznym, człowiek, który jak o łaskę prosić musi o pracę. Całość zawartego w pamiętnikach materiału daje żarliwą, konkretną wiedzę o ciężkiej doli proletariackiego dziecka, którego droga do życia wiedzie nie poprzez szkołę, ale poprzez najczarniejszą pracę w kamieniołomach, poprzez upokorzenia i krzywdy doznawane na każdym kroku, do rewolucyjnej walki o inne, lepsze życie. Sądzę, że obfite wyniki konkursu na „Wspomnienia robotników", w ramach którego powstała książka Tadeusza Felisa, winny być w szerszej, niż dotychczas mierze udostępnione czytelnikom.

Irena Matysiak

*) *T. Felis. „Życie za dniówkę". PIW, 1952.*

**) *M. Żmigrodzka. Wstęp do biografii biedniaka. „Wieś" 1951.*

LUDWIK MAJ

Rozważania o spółdzielczości produkcyjnej

W NASZEJ gminie Bystra gorąco dyskutuje się sprawę spółdzielczości produkcyjnej. W jednej tylko gromadzie, w której odbywało się omawiane zebranie, od 1918 r. do 1938 powstało 314 nowych gospodarstw rol-

Foto J. K. Maciejewski

nych z 410, których łączny areał ziemi ornej wynosił około 2.600 ha (weźcie pod uwagę, że w tym mieści się 10 proc. gospodarstw „kmiecich" ponad 15 ha ornego jedno), a w całej nagiej prawdzie, ujrzymy widmo katastrofy, której uniknęła wieś tylko dzięki zwycięstwu władzy robotniczo-chłopskiej. Milczenie na sali nie trwało długo, bo widmo przeszłości dzisiaj już nie przesłania chłopstwu pracującemu drogi wyzwolenia. Wszak wraz z ujęciem władzy ludowej przez robotników i chłopstwo — wstrzymane zostało dalsze rozdrobnienie gospodarstw (dzięki odzyskanym ziemiom, reformie rolnej, budującemu się przemysłowi i szkolnictwu) tak, że dzisiaj proces samorzutnego łączenia gospodarstw rolnych jest naturalny, gdyż wyjeżdżające rodziny oddawają pozostałym w użytkowanie.

Ale czy na przykład w systemie indywidualnej gospodarki sprawa kobiety wiejskiej jest rozwiązana? Nie. Życia kobiety nie rozwiązuje jeszcze w całości dostateczna ilość żywności w spiżarni ani to, że dzieci są dostatecznie ubrane, gdyż ciężka harówka kobiet wiejskich w dalszym ciągu pozostaje nierozwiązana w gospodarstwie indywidualnym. Ani urlopu macierzyńskiego ani odpoczynku i tak przez całe lata. A przecież w systemie spółdzielczym zbudowanie przedszkoli i żłobków nie przedstawia żadnej trudności, są one bowiem częścią składową spółdzielczej formy życia i pracy, a w wiosce o gospodarce indywidualnej budowanie przedszkoli i żłobków napotyka na wiele trudności. I praca w spółdzielni przydzielona na jednym odcinku (maszynami wykonywana cięższa praca) daje kobiecie więcej czasu na życie rodzinne, kulturalne i samokształcenie.

Tak samo sprawa młodzieży wiejskiej nie może być całkowicie rozwiązana w starym systemie gospodarczym. Bo stałe uwiązanie młodzieży do „krówskich ogonów" może dopiero zniknąć po przebudowie ustroju rolnego. W naszej wiosce jest około 700 rodzin, każda posiada krowę czy więcej, każda rodzina musi mieć pasterza. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni 700 chłopców i dziewcząt ugania się codziennie za bydłem, co odbija się ujemnie na frekwencji w szkole i wynikach egzaminacyjnych. Nie liczę tu już tej dzieciarni, która ugania za gęsiami lub bawi młodsze rodzeństwo, ani setek dni pracy zmarnowanych przez dorosłych, pasących krowy w zastępstwie dzieci.

A przecież spółdzielczość produkcyjna uwolni młodzież od bydła, gdyż zespołowo pasione bydło na wspólnym pastwisku obniży ilość pasterzy do minimum.

„Wychowawczy" wpływ wioski podhalańskiej, pociętej na szachownicę pól i poletek — katastrofalny. Nie ma rodziny we wsi, która by nie miała sporów o miedzę, o granicę, o szkody wyrządzone. I stąd ciągłe kłótnie, zwady, bijatyki, procesy na oczach dzieci, które od mała podsłuchują i wprawiają się do zwad.

A ileż kosztują pracujących chłopów te procesy i komisje. Mógłbym przytoczyć dziesiątki przykładów z jednej tylko wioski, gdzie rodziny całkowicie poszły na dziady z powodu zatargów granicznych.

Stały a gwałtowny rozrost przemysłu, wchłania coraz więcej zbędnych chłopów na wsi, cyfra ta podnosi się szybko do góry — i tak będzie dalej. Z tego powodu przed pracującą wsią staje nowy problem, który wymaga przygotowania prawidłowego w naszym ustroju jeśli chłopi nie chcą być zaskoczeni brakiem sił roboczych w rolnictwie w starym systemie. Bo jest tak: małorolny chłop jedzie do pracy w Nowej Hucie, pracuje, co jakiś czas przyjeżdża do rodziny i przywozi zarobek, który żona w części zużywa jako opłatę za pracę pociągową w rolnictwie. Wczorajszy chłop, dzisiejszy budowniczy Nowej Huty, liczy i kalkuluje, zastanawia się. Ma 1,30 ha ornego gruntu w 29 kawałkach, od domu najdalszy o 6 klm. Zaoranie tego areału kosztuje 12 dni jednokonnych, wywóz nawozu 3 dni, obróbka ziemniaków 2 dni, do tego ciężki wkład pracy, bo na małym poletku tylko ręczna mordęga. Przejazdy z kawałka na kawałek pochłaniają wiele czasu. Stąd taka duża ilość dni roboczych. Tak gospodarzyć — rozumuje — za drogo dzisiaj, co innego przed wojną, wtedy musiało się. Teraz bierze żonę z dziećmi na stałe do Nowej Huty, a gospodarstwo oddaje krewnemu. Takich chłopów (matematyków) coraz to więcej. A ci, co pozostają na wsi, też obliczają — i wynik otrzymuje taki: aby gospodarstwo rolne dawało większą korzyść przy mniejszym zapotrzebowaniu sił do pracy — potrzeba scalić do kupy poletka pod maszyny, które prędzej i lepiej obrobią, pod zmniejszoną ilość dojazdów, pod wielkopolowy płodozmian, a wtedy koszt pracy będzie tańszy, a dochód większy.

A jeszcze inne sprawy wiążą się z przebudową ustroju rolnego. Przez pole orne, poszatkowane w poletka, biegną drogi, po których pędzi się bydło na pastwisku. Tych dróg pełno, wielu właścicieli więc i dróg dużo. Krowy i owce wpadają w zboże, tratując, niszcząc. Celem zabezpieczenia zboża, stawia się płoty z żerdzi świerkowych, które wycina się w lesie. Pobieżne obliczenia wykazują, że w jednej tylko naszej gromadzie każde gospodarstwo wycina w tym celu co najmniej 10 sztuk świerków (są tacy, co i 30 lub więcej). Policzcie — 700 gospodarstw czyni co najmniej 7.000 sztuk rocznie — można nie przesadzać i liczyć 14.000 rocznie, a w skali gminnej na 2.000 gospodarstw? Lepiej nie liczmy, zdewastowane lasy świadczą o nieprzemyślanej gospodarce — takie jest marnotrawstwo indywidualnego rolnictwa.

Hodowlę bydła i owiec, odpowiednie zagospodarowanie pastwisk, też można podnieść o 100 proc. i więcej przy pomocy naukowych osiągnięć, lecz ten przedmiot jak i wiele innych przeze mnie nie poruszonych, albo niedostatecznie omówionych, pozostawiam bardziej odpowiedzialnym, znającym dokładniej te sprawy, by na łamach „Wsi" rozpocząć szerszą dyskusję na temat spółdzielczości w rolni-

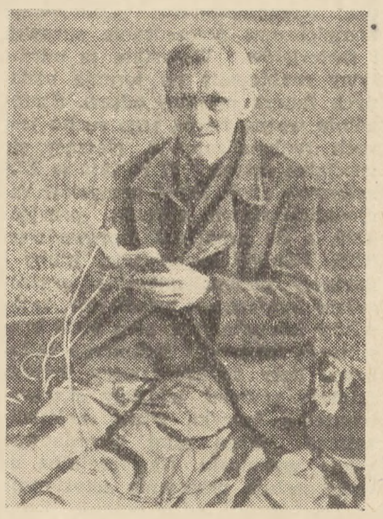

Foto J. K. Maciejewski

ctwie na Podhalu, by fachowcy i chłopi wypowiedzieli się czy nie wskazane byłoby przy prezydiach rad narodowych powołać odpowiednie komisje, które by kierowały i pomagały nam w budownictwie socjalizmu na wsi. Takie komisje życiowo dostosowałyby materiał odpowiedni do regionu dla walczącej wsi.

Sprawa, o którą walka toczy się na wsi jest wielka, toteż wielki zasób wiedzy potrzeba mieć, by zwycięstwo przybliżyć.

Ludwik Maj

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Kronika radziecka

Bohater — kolektyw — publicystyka

BOHATER A KOLEKTYW

LOS komsomolca Aloszy w głośnej powieści H. Nikołajewej „Żniwa" pobudził czytelników radzieckich do żarliwej dyskusji. W centrum sprzecznych opinii stanęło zagadnienie w literaturze radzieckiej ciągle aktualne: obowiązków człowieka radzieckiego. Dyskusja wokół tego zagadnienia świadczy o fakcie, że czytelników radzieckich jak najżywiej interesują sprawy komunistycznej etyki, ich ujęcie literackie. Ale co to znaczy obowiązek w rozumieniu komunisty, gdzie biegnie granica między potrzebnym bohaterstwem a zbędną ofiarnością — oto pasionujące pytania, na które próbowali odpowiedzieć czytelnicy a wreszcie sama autorka.

Pamiętamy, że w powieści Nikołajewej Aloszy ginie ratując hektar pszenicy: konieczność zebrania pszenicy przed burzą opóźnia pójście chorego bohatera do szpitala; Alosza wypełnia swój obowiązek, ale lekarze nie mogą go uratować; chłopiec ginie. W sporze zarysowały się dwa stanowiska. Według opinii niektórych czytelników autorka popełniła błąd, nie odróżniając bohaterstwa od zbędnej ofiarności. Komunizmowi — utrzymywali ci czytelnicy — potrzebni są ludzie bohaterscy, walczący i ginący w imię wielkich spraw, ale nie „ofiarnicy" z racji metra pszenicy. Inni czytelnicy nie zgodzili się z taką krytyką. Odpowiedzieli listem, w którym m. in. czytamy, że wobec tego — zdaniem oponentów — każdy człowiek radziecki zanim wypełni obowiązek społeczny, powinien najpierw obliczyć wszystkie okoliczności, zważyć, czy warto ryzykować zaczęcie pracy i czy wypełnienie obowiązku nie jest połączone z niebezpieczeństwem dla życia. Przypuśćmy, że takie stanowisko jest słuszne i załóżmy na chwilę, że wszyscy ludzie radzieccy będą się kierowali takim prawem: kołchoźnicy przy złej pogodzie nie będą się zajmować siewem, gdyż można się przeziębić; ślusarz-monter nie naprawi uszkodzeń w fabryce po swoich godzinach, gdyż można, ponoć, przemęczyć się i zachorować; strażak nie wejdzie do domu objętego pożarem itd. itd. Co wtedy będzie? Czytelnicy w licznych listach wspominają Zoję Kosmodemiańską, Aleksandra Matrosowa, Mikołaja Ostrowskiego i bohatera jego powieści, Pawła Korczagina. Uważają, że te postępki są typowe dla ludzi radzieckich i obowiązują nadal. Akceptują postępowanie Aloszy ze „Żniw".

Do dyskusji wdała się wreszcie autorka. W liście opublikowanym w „Litieraturnoj Gazecie" wyjaśniła swoje intencje — i na marginesie całej sprawy — opinię o stosunkach między bohaterem a kolektywem.

„Alosza — pisze Nikołajewa—którego chciałam obdarzyć cechami wspaniałej młodzieży radzieckiej, bynajmniej nie ma zamiaru poświęcać życia dla uratowania pszenicy... Alosza po prostu organicznie nie może patrzeć na to, jak ginie kołchoźnicze dobro. Dlatego kieruje nim jak najbardziej bezpośrednia pobudka — uratować pszenicę. Nieszczęście tkwi w tym, że nie docenia powagi swej choroby, co często cechuje bardzo młodych ludzi, nie nawykłych do cackania się z sobą i porwanych robotą". Autorka nie dostrzega w czynie Aloszy bohaterstwa, jedynie głębokie oddanie się pracy.

Na temat stosunków między bohaterem a kolektywem Nikołajewa pisze: „Jeśli przypomnimy sobie literaturę przedrewolucyjną, to tutaj stosunki między bohaterem a społeczeństwem były wrogie i antagonistyczne (Oniegin, Pieczorin, Bazarow). Na nowych zasadach powstają stosunki między bohaterem a kolektywem w społeczeństwie socjalistycznym". W radzieckim kraju człowiek stanowi cenną cząstkę zorganizowanego kolektywu. Im bardziej będziemy zbliżali się do komunizmu — utrzymuje Nikołajewa — tym pełniejsza będzie łączność między człowiekiem a kolektywem, tym głębsza będzie odpowiedzialność każdego członka kolektywu za los całości i odpowiedzialności kolektywu za los jednostki. Ale te stosunki między człowiekiem a kolektywem możliwe są jedynie przy wysokim poziomie świadomości, przy wysokim wyrobieniu moralnym ludzi. Tymczasem nowe ciągle jeszcze walczy z resztkami starego. „Jeśli rozejrzymy się dokoła — cytuję dosłownie Nikołajewą — to zobaczymy i takie fakty, kiedy ludzie wartościowi, wybitni, porwani pracą zapominają o sobie i po prostu „spalają się w robocie". A obok są ludzie, żyjący wedle zasady „koszula bliższa ciału" i „pilnuj własnego zdrowia", ludzie którzy usiłują chytrze żyć w dobrobycie i prosperować jak najlepiej. Takie fakty — ciągnie dalej pisarka — nie są oczywiście typowe dla naszego kraju, ale zdarzają się. Chcemy, żeby ich nie było, a one niestety, są".

Nikołajewa odrzuca spóźnioną propozycję, aby w powieści uratować Aloszę. Komsomolec ginie porwany pracą, odpowiadając za błędy kolektywu. To nie jest przypadkowe. Autorka „Żniw" postawiła sobie za cel: „w sposób możliwie jak najbardziej wyraźny i ostry postawić zagadnienie odpowiedzialności kolektywu za jednostkę i na odwrót". „Ukazuję życie — pisze Nikołajewa — w ostrych starciach i sytuacjach, ponieważ wydaje mi się, że przy takiej metodzie przedstawiania rzeczywistości jak najwyraźniej występuje dialektyka procesu wzrastania oraz rozwoju człowieka i zaznaczają się wyraziście wzajemne stosunki walczących sił".

Zagadnienie bohatera (pozytywnego i negatywnego) oświetla wystąpienie laureata Nagrody Stalinowskiej W. Łacisa p. t. „Notatki pisarza" (Litieraturnaja Gazieta). W. Łacis potwierdza ogólny sąd krytyki, że pozytywny bohater wypada częstokroć bardziej blado od negatywnego, tymczasem stworzenie typu pozytywnego stanowi główne zadanie literatury komunizmu. „Żeby wypełnić to zaszczytne zadanie—stwierdza W. Łacis — pisarz radziecki powinien doskonale znać swój nowy radziecki świat, nowego radzieckiego człowieka, a co najważniejsze, powinien widzieć jego zmiany w trakcie walki o lepsze". W. Łacis nawołuje pisarzy do silniejszego powiązania się z rzeczywistością radziecką.

W. Łacis uważa, że typ ujemny nie zawsze musi być zdecydowanym wrogiem. Bohater negatywny to także członek radzieckiej społeczności, uformowany w nowych warunkach, ale noszący w sobie jeszcze pozostałości psychiki kapitalistycznej Łacis protestuje przeciw manierze niektórych krytyków, którzy uważają, że bohater pozytywny nie posiadający skaz, jest „nieżyciowy, papierowy, wymyślony". Tacy krytycy i recenzenci swymi radami „pchają pisarza na niewłaściwą drogę". Pisarz chcąc zadośćuczynić wymogom krytyki — utrzymuje autor „Ku drugiemu brzegowi — obdarza swego pozytywnego bohatera jakąś ujemną cechą, czyli postaci skończenie doskonałej przydaje porcję zapóźnienia. Łacis broni prawa pisarza do przedstawiania bohatera pozytywnego jako typu idealnie doskonałego. Bo i tacy bywają w życiu — kończy znakomity laureat.

CZY W POWIEŚCI MOŻE WYSTĘPOWAĆ PUBLICYSTYKA?

To zagadnienie podejmuje również W. Łacis w wymienionym wyżej artykule. W recenzjach spotyka się często nagany w rodzaju: „styl utworu fragmentami grzeszy publicystyką" albo „obok stronic napisanych sugestywnym językiem artystycznym, zdarzają się miejsca, trącące gazetą". Takie opinie krytyków w stosunku do książek prozaicznych suponują pośledniość, drugorzędność stylu, opartego na publicystyce. W. Łacis protestuje przeciw takim zastrzeżeniom. Publicystyczne wtręty — utrzymuje — są tak samo dopuszczalne w literaturze (w powieści) jak np. liryczne. Środki dobrej, prawdziwej publicystyki pozwalają rozwiązywać jasno zagadnienia treści powieści i podać bezbłędnie myśl. Oczywiście nie należy chwytu publicystycznego nadużywać. Tutaj doradcą a zarazem surowym sędzią pisarza powinien być jego własny smak. Trudno o jakieś szczegółowe recepty, identyczne dla każdej książki. Przed pisarzem stoi otworem cały arsenał środków artystycznych. W który z nich się uzbroi — to już zależy od niego Ale nie da się zaprzeczyć — utrzymuje W. Łacis — że dobra publicystyka wzbogaca naszą literaturę, dowodem czego jest mnóstwo znakomitych utworów literatury radzieckiej, które cieszą się ogólnym rozgłosem i zostały odznaczone Nagrodą Stalinowską Oczywiście „nie wolno — pisze W Łacis — zamieniać powieść na publicystyczny szkic, historyczny czy filozoficzny traktat, Jeśli jednak autor poświęcił kilka stronic publicystyce, konkretnie wykładając te czy inne poglądy na konkretne zjawiska życia albo określając stosunek swoich bohaterów do określonej konkretnie historycznej sytuacji, do społecznego lub filozoficznego problemu. i jeśli to wymaga naukowej i ideologicznej ścisłości w sformułowaniu — powieść z tej przyczyny nie ucierpi, nie straci na wartości".

Są sprawy i zjawiska — konstatuje W Łacis — dla których oddania trzeba ścisłej, skąpej — publicystycznej prozy.

Grzegorz Timofiejew

JAN SKALSKI

Festiwal zespołów wiejskich

TROCHĘ WRAŻEŃ Z FINAŁU

CENTRALNE eliminacje wiejskich zespołów scenicznych rozegrane w ramach Festiwalu Sztuk Polskich dostarczyły wielu cennych spostrzeżeń odnoszących się zarówno do samych zespołów, jak i repertuaru przez nie granego.

Wśród sztuk festiwalowych specjalną grupę stanowiły sztuki współczesne napisane specjalnie dla świetlic. Szczególnie reprezentatywne są tu zwłaszcza „Zaprzęgać konia" Lachowicza, „W rodzinnym domu" Piotrowskiego i „Tama" Chałata. Znaczenie ich polega nie tylko na tym, że są to sztuki specjalnie dostosowane do wymogów teatru amatorskiego na wsi ale przede wszystkim dlatego, że tematycznie związane są ze współczesną wsią, że poruszają problem dla niej centralny, problem przebudowy gospodarczej i społecznej naszej wsi.

Sztuki te przez swe pionierstwo i przez to, że zapełniają lukę w tej dziedzinie teatru amatorskiego zasługują na życzliwą krytykę. Nie ulega również wątpliwości ich pozytywne oddziaływanie na widza wiejskiego. Poza tym zarówno w swych zaletach jak i nieuniknionych brakach stanowią cenne doświadczenia pisarskie, z których powinniśmy pełną garścią korzystać. Niesposób w krótkim artykule poddać je pełnej analizie krytycznej. Postaram się jednak rzucić kilka uwag jakie mi się nasunęły.

Zagranie tych sztuk przez wiejskie zespoły było surową próbą i sprawdzianem ich realizmu i wartości artystycznych. Sztukę „W rodzinnym domu" Piotrowskiego widziałem w wykonaniu zespołu ze wsi Ninków pow. Końskie woj. kieleckie, która to wieś jest właśnie w trakcie organizowania spółdzielni produkcyjnej. Sztukę „Tama" Chałata odegrał zespół już istniejącej spółdzielni produkcyjnej.

W wykonaniu takich zespołów ze szczególną jaskrawością obnażyły się zarówno mocne jak i słabe miejsca tych sztuk. Można było odróżnić te dialogi i sceny, gdzie chłopi grali samych siebie, od dialogów i scen sztucznych, wymyślonych za pomocą gotowych schematów przez autorów. Te się odrazu demaskowały. Tych aktor wiejski zagrać nie potrafił.

Obronną ręką wyszła tu sztuka Piotrowskiego „W rodzinnym domu" aczkolwiek była może najtrudniejsza, z uwagi na to, że jej ciężar dramatyczny spoczywa głównie na dialogach. Sztuka ta wniknęła jednak najgłębiej w aktualne stosunki wiejskie i w psychikę chłopa. Umiała powiązać stare, właściwe wsi kapitalistycznej i wciąż jeszcze aktualne konflikty (spłaty i zatargi rodzinne) z zagadnieniami nowymi (sprawa spółdzielni produkcyjnej). Pokazała konflikt i rozłam w jednej rodzinie. Umiejętnie przedstawiła, jak w starej formie sporów rodzinno-majątkowych dochodzi do głosu nowa treść, nowy problem w związku z organizowaniem spółdzielni produkcyjnej.

U dwu pozostałych autorów: Lachowicza („Zaprzęgać konie") i Chałata („Tama") konflikt zbudowany jest raczej sztucznie i naiwnie. Tę naiwność odczuł aktor chłopski i stanął wobec niej bezradny.

Jeśli bowiem Lachowicz pokazuje kułaka głupiego, naiwnego i ohydnego już przez swój wygląd zewnętrzny i zachowanie, jeśli każe mu popełniać w sposób dziecięco nieporadny, w biały dzień przestępstwo podpalenia, to aktor wiejski od razu spostrzega nierealność i sytuacji i postaci kułaka i zagrać z przekonaniem nie potrafi.

W rezultacie kukła kułaka na scenie zostaje ośmieszona i zwyciężona, ale z rzeczywistym obrazem walki klasowej na wsi ma to nie wiele wspólnego. Taka sztuka słabo uzbroi widza do walki z rzeczywistym wrogiem. Kukła na scenie nie znajdzie w świadomości ani aktora, ani widza odpowiednika w znanej mu rzeczywistości, a to jest dla autora — przegrana.

Nieumiejętność psychologicznego pogłębienia postaci prowadzi zarówno Lachowicza jak i Chałata do takiej konstrukcji sztuki, gdzie kułak demaskuje się przez zbrodnię, przez przestępstwo. Oczywiście nie sam fakt, że kułak popełnia przestępstwo jest błędem, aczkolwiek zdemaskowanie kułaka przez przestępstwo jest już pewną ucieczką od problemu i stępia klasowe ostrze sztuki. Widz potępia bowiem kułaka w tym wypadku jako zbrodniarza, a nie jako nosiciela wrogich poglądów klasowych. Chodzi jednak przede wszystkim o to, że przesłanki do tej zbrodni są naiwnie skonstruowane i że kułacy wychodzą tu głupsi, niż są w rzeczywistości. Jeśli zaś metody bogacza są naiwne, to i chwiejący się średniak, na którego oni oddziaływają nie wypada zbyt mądrze. Stąd zwłaszcza u Lachowicza wahanie średniaka budzi, nie wiem czy zawsze zamierzony śmiech. Z dramatu wewnętrznego średniaka robi się niechcący farsa.

„Szkice węglem" Sienkiewicza — zespół grom. Smreczyna, pow. Bystrzyca.

Również „przełamanie się" średniaka u Chałata jako wynik zdemaskowania zbrodniczych zamiarów kułaka odbiega od typowych wzorów rzeczywistości. Średniak u Chałata przekonuje się do spółdzielni wtedy, gdy dostaje w łeb łopatą od bogacza planującego rozkopanie tamy i zatopienie pól. Rzeczywiście biedny średniak Chałata nie ma wtedy wyjścia. Kułak „steroryzował" go do spółdzielni.

Jak zaznaczyliśmy, wpływ realizmu i wartości artystycznych sztuk miał dość zdecydowany wpływ na poziom zagrania. Wniosek nasuwa się wyraźny. Dać aktorowi wiejskiemu jak najwięcej sztuk dobrych, a pokaże co potrafi. A potrafi dużo.

W zespole Niwki grało dwu pracowników umysłowych: nauczyciel i pracownik GRN, reszta to sami chłopi i to chłopi starsi — gospodarze. Z pełną satysfakcją podziwiać można było ich namiętność a zarazem umiar w interpretacji sztuki Piotrowskiego. Trudna pozytywna rola ZMP-owca aktywisty została zagrana z wielką pasją i przejęciem, a przy tym zupełnie naturalnie. Aktor grający gospodarza średniaka — starszy chłop wczuł się doskonale w swoją rolę. Grał siebie. Rolę jego „żony", pochodzącej z rodziny bogaczy, grała z umiarem starsza gospodyni wiejska. Nie zgrywała się ani nie ośmieszała. Nie szarżowała. Dała portret kułaczki „godnej", przywykłej do poważania ludzkiego, kułaczki twardej — tym więcej prawdziwej i to robiło wrażenie. W ten sposób problem walki klasowej nie został spłycony, ale postawiony na właściwym poziomie.

Podobnie poważnie zagrał zespół spółdzielni prod. Brzezina, woj. Opole. Pierwsza część sztuki miała dużo cech realizmu. Wybijał się tu zwłaszcza chłop-aktor bardzo naturalny w roli średniaka.

W sztuce Lachowicza zespół wydobył jej najcenniejszy pierwiastek — humor.

Na przykładzie zespołu Niwki można zrozumieć, jak wielką rolę w wychowaniu i wykształceniu zespołu daje kontakt wsi z życiem pozagromadzkim a zwłaszcza z ośrodkami robotniczymi Wieś Niwki jest wsią małorolnych o słabej, piaszczystej glebie. Dopiero w latach powojennych otwarła się możliwość awansu do miast i ośrodków robotniczych Wielu chłopów znalazło zatrudnienie w ośrodkach przemysłowych Skarżyska, Starachowic i Radomia, i weszło w klasę robotniczą. Niemal z każdej rodziny co najmniej jeden człowiek dojeżdża do pracy w Skarżysku.

Wpłynęło to zdecydowanie na podniesienie świadomości i kultury Niwek. Wynikiem tego jest komitet założycielski spółdzielni składający się już z 28 członków. Wynikiem tego jest ożywienie życia świetlicowego i czytelnictwa, i wreszcie powstanie zespołu teatralnego.

Zaczęło się od akademii na 22 lipca. Inscenizacja „Zwycięstwa" przedstawiana wówczas spotkała się z gorącym przyjęciem. Dalszym krokiem było utworzenie zespołu teatralnego. „W rodzinnym domu" to pierwsza sztuka w pełnym tego słowa znaczeniu, zagrana przez zespół. Uczestnicy zespołu świadomi są swej roli społecznej. Podkreślają wpływ granej przez nich sztuki na okrzepnięcie idei spółdzielczości u nich w Niwkach. Wystąpili dopiero z pierwszą sztuką, a już widać rezultat. To daje zadowolenie i zachęca. Gra toczyła się o wielką stawkę — o spółdzielnię. Zespół nie ustawał w pracy. Wywalczył zwycięstwo na eliminacjach powiatowych, zwycięstwo w eliminacjach wojewódzkich! I wreszcie Warszawa. — Zespół gra na deskach „prawdziwego" teatru.

Ten awans, nie przypadkowy. Jest on miarą marszu, w jakim kroczy nasza wieś.

Jan Skalski

JAN SZCZEPAŃSKI

Badania warunków życia i kultury klasy robotniczej

Z badań nad życiem i kulturą robotników została dotychczas opublikowana pierwsza część studium Czeboksarowa, przedstawiająca życie robotników moskiewskich. Badania w Moskwie przeprowadzono w dwóch wielkich i sławnych zakładach przemysłowych: Samochodowych Zakładach Imienia Stalina (ZIS) oraz w Trechgornoj Manufakturze. Badaniami objęto całokształt życia robotników rozpoczynając od pracy produkcyjnej, przy czym główną uwagę zwrócono na nowy stosunek do pracy, dalej przekształcenia w życiu społecznym i rodzinnym, wzrost dobrobytu, tworzenie się nowego, radzieckiego obrazu życia i świadomości społecznej. „Zadanie etnografów radzieckich nie polega na tym, żeby ustalić i opisać te zjawiska, lecz żeby w toku ich badania pokazać walkę nowego ze starym, walkę z przeżytkami zamierającego życia burżuazyjnego, walkę z przeżytkami kapitalizmu w świadomości ludzi". A więc nie prosta rejestracja faktów a zbadanie ich z punktu widzenia wykrycia walki starego i nowego, zwycięstwa tego nowego, oczywiście bez przemilczania istniejących jeszcze niedostatków — tak można sformułować kierownicze założenia metodologiczne, które wyznaczały pracę współpracowników Instytutu Etnograficznego w toku badania życia i kultury rosyjskich robotników.

Rozpoczęto prace od zbadania życia na terenie fabryki, od zbadania pracy produkcyjnej. „Etnografowie z konieczności nie mogą pominąć życia produkcyjnego robotników, chociaż nie interesuje ich technologiczna strona produkcji, lecz jej treść społeczna i ideologiczna, ponieważ w procesie produkcji powstają nowe socjalistyczne stosunki między ludźmi". Opublikowana dotychczas część pracy Czeboksarowa daje opis warunkom i organizacji pracy w fabrykach i stosunków produkcyjnych w szerokim znaczeniu tego słowa.

Warunki pracy w epoce radzieckiej uległy zasadniczej zmianie. Ośmiogodzinny dzień pracy stał się niewzruszonem prawem. Praca w zakładach przebiega w trzech zmianach, przy czym zmiana nocna pracuje tylko 7 godzin. Przerwy pozwalają na spożycie posiłków w stołówkach fabryk. W Zakładach Stalina istnieje 21 stołówek i 46 bufetów. Zapewniono wszelkie warunki higieniczne: natryski, szafy dla ubrań, ubrania robocze. W halach montażowych ZIS robotnicy pracują w białych płaszczach.

Istnieje również wysoko zorganizowana sieć punktów zdrowia i obsługa lekarska. ZIS posiada 5 profilaktoriów typu sanatoryjnego, centralną poliklinikę zatrudniającą stu lekarzy i szpital fabryczny posiadający 110 łóżek. Urządzenia wewnętrzne, przebudowy i nowe wyposażenie techniczne zapewniają bezpieczeństwo i rytmiczność pracy.

Podstawową komórką życia produkcyjnego i podstawową jednostką organizacyjną socjalistycznego przedsiębiorstwa jest brygada. Liczebność brygad waha się w zależności od rodzaju wykonywanej pracy i od poziomu kwalifikacji jej członków, wynosząc od 3 do 8 członków. Stosunki wewnątrz brygady opierają się na koleżeństwie i wzajemnej pomocy. Szczególnie ważna jest rola brygadiera. Brygada jest jednostką ściśle zespoloną z całością zakładów i mającą na oku zawsze interes całości produkcji. Rola brygady występuje szczególnie we współzawodnictwie pracy. Współzawodnictwo pracy jest ruchem masowym, obejmującym na terenie Trechgornoj Manufaktury 90 proc., a na terenie Zakładów Im. Stalina 97 proc. załogi. Ten masowy ruch dla przekraczania planów jest najbardziej charakterystyczną cechą życia robotników w fabryce. Szturmowców (udarników) przekraczających plan do 30 proc. jest na terenie ZIS 19 proc. załogi, natomiast przedowników pracy, przekraczających wykonanie planu produkcji ponad 30 proc. jest na terenie Manufaktury 50 proc. a w ZIS 59 proc. załogi.

Ruch stachanowski przybiera różne konkretne formy Na wezwanie **Aleksandra Czutkicha** powstały i rozszerzyły się masowo brygady najwyższej jakości, dające wyłącznie produkcję najlepszego gatunku. **Maria Wołkowa** rozpoczęła ruch wielowarsztatowy, pociągając masy robotników i robotnic do obsługi wielu maszyn. **Włodzimierz Woroszin** zapoczątkował masowy ruch podniesienia kultury produkcji; **Lidia Korabielnikowa** zainicjowała kompleksowe oszczędzanie surowca i materiałów. Wszystkie te inicjatywy znajdowały na terenie badanych fabryk masowy odzew. Szczególnie ważną formą tego ruchu jest ruch racjonalizatorski, cieszący się specjalną opieką. W r. 1949 w ZIS zgłoszono około 11.000 pomysłów racjonalizatorskich, z czego przyjęto 4200, a do produkcji wprowadzono 3200. Istnieją organizacje, kluby i gabinety racjonalizatorskie, organizujące konferencje inżynierów, techników i robotników, oraz stałe konsultacje. Biblioteka techniczna w fabryce liczy 300.000 tysięcy tomów. Istnieją również oddziały eksperymentalne fabryki, gdzie racjonalizatorzy mogą sami wypróbować swoje wynalazki. Na specjalną uwagę zasługują pracownie artystyczne w Trechgornoj, gdzie pracuje liczny sztab artystów, specjalistów, znawców sztuki ludowej itp.

Osobny rozdział opisu zajmuje przedstawienie szkolenia nowych i młodych kadr. Przybiera ono różne formy: szkoły, kursy, szkolenie indywidualne w oddziałach fabryki, szkoły stachanowskie, Technikum wieczorowe i szkolenie zawodowe jest jakby tylko częścią pracy wychowawczej. Obok idzie praca polityczna i wychowawcza organizacji partyjnej i organizacji komsomolskich. W samych ZIS istnieje 564 brygad komsomolskich.

Jan Szczepański

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

MARTWE KOŚCI

Jakąż to ambicję żywił w swym cichym sercu prezes Gminnej Spółdzielni w Górkach Brzezińskich, obywatel Atanazy Cieślak? Od dłuższego czasu dręczyło biedaka przeświadczenie, że jego pełna, jak mniemał, poświęcenia praca, można powiedzieć pionierska na niwie spółdzielczej, nie jest należycie doceniana przez zwierzchnie władze.

Dumając podczas urzędowania na sztywnym zydlu, lub spoczywając w domu na tzw. łonie rodzinnym, a ściślej mówiąc, na rozprężynowanej kanapce, tęsknił ob. Cieślak do awansu na wyższe stanowisko i związanego z tym przeniesienia do takiego miasta jak Piotrków, lub chociażby Sieradz, czy Kutno. Bóg świadkiem, jak gorąco tęsknił.

— Ha, cóż — myślał sobie często — widocznie nie zwróciłem jeszcze na siebie dostatecznej uwagi powiatu, a co za tym idzie i województwa, bo i czym? Kontraktacje, zaopatrzenie sklepów, skupy różnego rodzaju, to wszystko rzeczy bardzo, można rzec, powszednie. Tu trzeba się wykazać czymś extra takim, czego się nie dokonuje z dnia na dzień. Trzeba chwycić jakąś okazję.

Czekał ob. Cieślak i czekał, aż tu nagle dowiaduje się, że pracownica spółdzielni, niejaka Aniela Grzebyk, wdowa, ma zamiar zachorować. Ni mniej, ni więcej, tylko chce iść do szpitala na operację nóg, bo jej, powiada, przy dużych palcach potworzyły się jakieś narośliska, bulwy takie, martwe kości, które przeszkadzają w chodzeniu.

Grzebykowa jest równocześnie woźną, sprzątaczką i gońcem w biurach Spółdzielni, do czego potrzeba zdrowych nóg, więc oczywiście kuracja była konieczna. Owo wydarzenie prezes Cieślak po cichutko zaczął sobie w głowie dokładnie rozważać.

— Pójdzie baba na taką operację, poleży ze trzy miesiące, trzeba będzie na jej miejsce wziąć nową siłę i tej płacić i tamtej płacić — jakaż to wielka strata i marnotrawstwo pieniędzy społecznych. Nic innego, tylko trzeba Grzebykową zwolnić.

Otóż i wybiła szczęśliwa chwila. Czyż bowiem może ktoś powiedzieć, że takie postanowienie, to nie dowód wielkiej czujności i troski o skarb państwa? A równocześnie — nie jest to właśnie owa wyjątkowa okazja, z racji której władze zwierzchnie postawią prezesa za wzór do naśladowania?

Zdawało się prezesowi, że wszystko jest na dobrej drodze, a tymczasem... Wprost serce się kraje od współczucia: jak człowiek na takim stanowisku, mógł postawić tak nieopatrzny krok. Chcesz awansować, dobrze, pragniesz się wyróżnić — masz do tego święte prawo, ale co temu wszystkiemu winna wdowa Grzebykowa i jej martwe kości na nogach?

Grzebykowa napisała list do Redakcji „Towarzyszki".

Wieść o tym wnet dotarła do zarządu Gminnej Spółdzielni w Górkach.

— Rozpisała się po gazetach, żeśmy jej wymówili pracę — powiedział w biurze jeden z członków Rady Miejscowej.

Ale co ona poradzi, naiwna kobieta, czy będą jej list aby chcieli w redakcji czytać? Gdyby ktoś jej napisał przyzwoicie, to co innego, ale ona sama nagryzmoliła swoimi kulfonami, a dzisiaj dla „alfabetów" nie mają już wyrozumienia.

Aliści do Gminnej Spółdzielni echa sławetnego listu Grzebykowej doszły również od innej strony, rzec można — oficjalnej.

Oj nieładnie zrobiło się prezesowi, nieładnie. Rozpisali po urzędach, zjechały różne komisje. — I o co, o kogo—pytał zdenerwowany Cieślak. — Że też im się chce dochodzić o głupią babę i jej martwe kości. Wymówienie pracy trzeba było wycofać, a wścibskie nosy inspektorów zajrzały nadto w różne urzędowe zakamarki i kto wie, czy zamiast awansu nie gotowi jeszcze człowieka zdegradować, albo co gorszego. — Nie opłaci się być zbyt gorliwym, oj nie opłaci.

Bronisław Chęciński

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12 tel 7 52-50. Adres redakcji Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch". Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel 604-20 do 25
Tel Red Nacz 727-86 Tel Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł, kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł: rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6842/110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś".
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-17237